

Warszawa, dnia 18 (30) Kwietnia 1870 r.

№ 17. Rok VI.

Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

TREŚĆ:

NIC DARMO.

Ktokolwiek wstępuje w świat jako człowiek dojrzały, powinien mieć zaszczepioną w sobie zasadę, że tyle mieć będzie, ile sobie zapracuje, czyli jak nasze przysłowie mówi: tak się wyśpi jak sobie pościele. Przedewszystkiem powinniśmy liczyć na swoją pracę, na swoją zdolność, potem dopiero na pomoc ludzką; ale wiedzmy że ta pomoc nie otrzymuje się darmo, lecz płacić za nią trzeba monetą, którą sami wyrabiamy, to jest: chęcią do pracy i zdolnością. Liczyć powinniśmy tylko na siebie, nie wymagać i nie wyczekiwać od ludzi nic darmo, powinniśmy od pierwszéj chwili zrozumieć, że nikt nie ma obowiązku nam dopomagać, jeżeli sami opuścimy ręce, że umrzemy z nędzy, jeżeli będziemy wyczekiwać w próżniactwie zmiłowania Bożego lub ludzkiego.

Mieszkańcy wysp Nikobarskich (Strona 195).

Z takiemi zasadami nie będziemy narzekać na

losy, nie przeklniemy życia i ludzi, lecz własnéj winie przypisując swą niedolę, podźwigniemy się z chwilowego upadku, przypomnimy sobie, że wszystko nietylko w świecie człowieczym, ale i w zwierzęcym i w roślinnym i w całéj przyrodzie, wszystko wzajemnie dla siebie pracuje, wszystko sobie płaci za usługi, jakie jedno drugiemu oddaje. Dobrze zrozumiawszy ten nasz stosunek do całéj ludzkości, będziemy wiedzieć, co od ludzkości nam się należy. Należy nam się od niéj uznanie pracy i zdolności naszéj; uznanie takie objawia się w zachęcie przez podanie środków do zarabiania na chleb i do ciągłego kształcenia, więc rozwijania naszych zdolności. Takie wzajemne zobowiązanie nas względem ludzkości i ludzkości względem nas, od razu stawia nas w położeniu jasnem, zrozumiałem, uwalnia nas od wszelkich kroków niepewnych, od wyczekiwań pomocy, na którą niczem nie zarobiliśmy.

Z taką zasadą wchodząc w życie, nie będziemy zazdrościć nikomu ani dostojeństw, ani dostatków; nie będziemy zawistném okiem patrzyć na tych, którzy po długoletniéj pracy zdobyli niezależny a wygodny byt. Są wprawdzie ludzie, którzy nic nie robiąc, niczém się nieodznaczając, przychodzą jakimś szczęśliwym dla nich trafem do majątku; ale na takich jako na wyjątki zapatrywać się niepowinniśmy. Jeden przez sukcesję, drugi przez loterję, trzeci przez nadzwyczajną spekulację od razu stają się posiadaczami tego, na co wszyscy muszą pracować długo, najczęściéj całe życie. Równocześnie widzimy ludzi pracowitych, zabiegliwych, zdolnych a żyjących w ciągłych kłopotach, często w biedzie; nie mogących dobić się trwalszego bytu, napróżno goniących za trwalszem a wygodniejszem położeniem społecznem. Są to wyjątki które nas nigdy ani zniechęcać ani obezsilniać w zasadach nie powinny.

Bo pomimo tego że są prawa nieodmienne, podług których rządzi się cała przyroda, i cała ludzkość, są i z chwilowemi, przypadkowemi zboczeniami. To np. drzewo jednéj wiosny zakwitnie dwa razy; to nowo narodzony płód podobny jest do odrębnego gatunku stworzeń a nie do swéj familji; to ciało niebieskie krążąc tysiące lat po jednéj drodze nagle zbacza z niej, chociaż drugie takież same ciała idą bez przerwy właściwym torem; to poświęcenie i cnota są zgnębione, a fałsz i złość ludzka tryumfują chwilowo tak potężnie, jakby były jedyną i wiekuistą duszą ludzkości. Te i tym podobne wyjątki od ogólnych praw, są widoczne dla umysłu naszego, który jeżeli jasno widzi, nie powinien i nie może mięszać praw ze zboczeniami.

Więc nic darmo nie żądać od społeczeństwa jest prawo, któremu my jako pracownicy na téj ziemi, ulegać musimy. Jest to prawo z pozoru egoistyczne, ale tylko z pozoru. Z niem my płacimy za wszystko siłą swéj ręki i swego umysłu; z niem nam płacą za też same siły. Taka wzajemna wypłata gruntuje w społeczeństwie solidarność, to jest wzajemne zobowiązania, a przez to gruntuje porządek, ład; wzmaga bogactwo moralne i materjalne; wyniszcza próżniactwo a zaszczepia staranność o dobro swoje i ogółu. Bo przy takiem prawie wzajemności dobro ogółu tyle nas obchodzi co dobro własne, bo praca nasza pojedyncza tem lepiéj będzie cenioną, im ogół będzie zamożniejszy, im lepiéj zrozumie dług swój względem nas.

Spojrzyjmy na ludzi, którzy w życiu swem na nic nie liczyli, tylko na swoją pracę uczciwą i pożyteczną: są to ludzie silni duszą, często potężni wolną wolą, pogodni i szlachetni w swem obliczu, godnością przejęci w całéj postawie. A godność ta objawia się zarówno w człowieku pracy, który zajmuje wysokie stanowisko, jak i w tym, który skromnie przy warsztacie życie pędzi. A spojrzyjmy na ludzi, którzy nie pracą, nie pilnością, nie uczciwością, ale próżniactwem, poniżaniem się w służalstwie pochlebcy, protekcją wyskomloną zyskują chleb codzienny, niekiedy majątek i znaczenie: ani w ich obliczu, ani w postaci, nie dopatrzysz żadnéj godności; charakter ich gotów do wszystkich zmian, bo nie mają żadnego; ustąpią i zaprą się swego zdania gdy im zaprzeczy człowiek, co nie w honorze, ale w sile swego majątku czerpie znaczenie, a potępią i z pychą odepchną człowieka, który tylko osobistą zasługą może im zajaśnieć. W jakimże szeregu pragnęlibyśmy być pomieszczemi? w pierwszym? czy w drugim? Jeżeli w pierwszym, to płaćmy za wszystko swoją pracą i zdolnością, jeżeli w drugim, to płaćmy próżniactwem i poniżeniem.

SROGI SYN.

(Z podania ludu).

Srogi syn do ojca mówił tak:
Do staruszka ojca mówił tak:
«Ruszaj stary! Ruszaj sobie w świat!
«Mnie samemu z żoną chleba brak,
«Nie wié człek co jutro będzie jadł—
«Ruszaj stary, ruszaj sobie w świat!

«Darmo jész, a nie pomagasz nam,
«W żadnéj pracy nie pomagasz nam,
«Idź na dziady, boś już stary dziad!
«Dam ci torbę, kij i płachtę dam,
«Będziesz żebrał, albo będziesz kradł—
«Idź na dziady, boś już stary dziad!"

Starowina kij i torbę wziął,
Ze łzą w oku starą płachtę wziął,
«Bądź zdrów synu! Pomnij żeś mój kat!
«Nie będę ja smutnéj doli klął,
«Pójdę żebrać mimo starych lat,
«Ale pomnij synu żeś mój kat!

«Biorę torbę chociaż pusto w niéj,
«Choć jak w sercu twojém pusto w niéj,
«Biorę kij podeprę nim się rad,
«Gdy mi syn odmawia ręki swéj,
«A na płachcie, spać się będę kładł,
«Gdy mi syn w swéj chacie nie jest rad."

Jęknął starzec i ku drzwiom się wlókł,
A po za nim płachty kraj się wlókł....
W tém niemowlę wnuk co w kącie siadł,
Zaszczebiotał—bo cud zdziałał Bóg:
«Zostań złoty dziadziu! Czemuś zbladł?"
Pytał wnuczek co w kąciku siadł.

«Dziadziu stój! Ojciec ci płachtę dał,
«Lecz ci płachtę za przestronną dał.
«Ojcze patrz! Oto się wlecze płat...
«Utnij go; gdy kiedyś będę miał
«Wygnać cię jak ty dziadunia w świat,
«Dam ci kij i torbę i ten płat."

Srogi syn w tém uczuł bożą dłoń,
Skruszył się uczuwszy bożą dłoń,
Cały w łzach do nóg dziadunia padł,
«Ojcze mój!"... i w prochu tarzał skroń.
«Przebacz mi, nie rzucaj naszych chat!
«Wielki cud na mnie grzesznego padł!"

Dziadek dłoń ku niebu drżącą wzniósł,
Błogosławiąc dłoń ku niebu wzniósł,
Szeptał coś, jak z wiatrem lilii kwiat...
Został z synem. Wnuczek zdrowo rósł,
Przezeń Bóg do późnych, późnych lat,
W chacie téj zachował szczęścia kwiat.

Wacław Pomian.

Wyspy Nikobarskie i ich mieszkańcy.

Do ciekawych, a długo nieznanych wysp Azji, owéj kolebki rodu ludzkiego i ogniska odwiecznych wspomnień historycznych, należy niewielki archipelag Nikobarski, o którym słówko zamierzamy powiedzieć.

Wyspy Nikobarskie, niegdyś należące do Duńczyków, a od 1845 roku będące własnością angielskiéj kompanji Wschodnio-Indyjskiéj, leżą w południowowschodniéj stronie Azji, między wyspami Andamańskiemi i Sumatrą. Składają się one z 7 większych, i 12 małych wysp, tworząc dwie gromady, rozdzielone od siebie kanałem Sombrero, i obejmując razem około 30 mil kwadratowych powierzchni.

Grunt na tych wyspach dosyć jest żyzny, i dla tegoteż oprócz gęstych lasów, doskonale udają się tam rozmaite płody, a szczególnie drzewo chlebowe, kokos, banan, imbir, trzcina cukrowa i t. p.

Klimat wysp Nikobarskich jest bardzo niezdrowy, albowiem przy wielkich upałach, jakie tam panują, częste deszcze, trwające czasami do dziewięciu miesięcy w roku, i powodujące ogromne wylewy wód, bardzo szkodliwie wpływają na zdrowie krajowców, a tembardziéj na europejskich przybyszów.

Zamieszkujący te wyspy krajowcy, których liczba do 6,000 dochodzi, są pochodzenia malajskiego, i pod względem ogólnéj oświaty, na bardzo nizkiéj dotąd jeszcze pozostają stopie.

Niezdrowy klimat i wielka trwożliwość krajowców, ciągle przeszkadzały bliższemu rozpoznaniu tych wysp, pod etnograficznym względem, a tem samem tamowały zawsze możność zakładania tam europejskich osad. Próbowali tego najprzód Jezuici w 1711 r., następnie Austryjacy w 1778 r., a nakoniec Duńczycy, których ostatnie próby kolonizacji w 1845 r. miały miejsce, lecz te wkrótce okazały się bezużytecznemi, z powodu zabójczych gorączek i innych chorób, jakie się tam nader często zjawiają.

Zresztą przy każdém zwiedzaniu tych wysp, krajowcy uciekali ze swoich siedzib, rozłożonych po nad brzegiem morza, do lasów, bojąc się zawsze europejskich gości. Z biegiem jednak czasu, śmiałe kroki uczonych naturalistów i tam się przedarły, i powoli przyjrzano się bliżéj wyspom, i ich mieszkańcom zarazem.

Z opisu też różnych podróżników, a głównie Dr. Scherzera, dowiadujemy się, że zamieszkujący wyspy Nikobarskie krajowcy, są kształtnéj budowy ciała, ciemno brązowego koloru, połyskującego nieco od częstego nacierania kokosowym olejkiem. Czoło tych wyspiarzy również jest kształtne; twarz prawie owalna, nos bardzo rozszerzony, a przytém długi. Uszy mają niewielkie, lecz tak dalece przedziurawione, iż w otwór ich, swobodnie wchodzi niezbyt zapewne przyjemny i piękny kolczyk, bo pręt z bambusowéj trzciny przeszło cal grubości mający. Włosy czarne, po większéj części gęste i miękkie, spadające im po obu stronach na ramiona, twarz bez zarostu, którego prawie nigdy nie mają i nie lubią nawet, uzupełniają obraz tych synów natury.

Chociaż przy średniéj temperaturze rocznéj 27° ciepła, wszelka odzież zdaje się być tam zbyteczną, krajowcy jednak wielkie mają upodobanie w europejskich ubiorach.

Jeżeli można czemkolwiek wywołać wyraz zadowolenia na ich wiecznie obojętnych twarzach, to chyba ofiarowaniem im jakiéj europejskiéj odzieży.

Jak daleko zachodzi próżność Nikobarczyków pod tym względem, łatwo ztąd można wnosić, że za zwyczajny kapelusz męzki (cylinder) dają 1,600 sztuk kokosowych orzechów. Potwierdzają to i słowa Dra Scherzera, który naocznym był świadkiem następującego zdarzenia: Naczelnikowi jednéj osady, podarowano fantastyczny mundur, uszyty z grubego, żołnierskiego sukna. Jaskrawe wyłogi i błyszczące guziki, tak zachwyciły owego syna natury, że pomimo ogromnych upałów, ani na chwilę nie rozstawał się z tym uniformem, chodząc ciągle na wszystkie guziki zapiętym.

Mieszkania Nikobarczyków po większéj części są okrągłe, podobne do słomianych ulów i wsparte na 6 lub 8 palach. Do wnętrza swych chat, wchodzą oni po drabinach, dosyć misternie z bambusowych łodyg wyrobionych. Obok prostoty, chatki ich, rzec można, nie są zupełnie pozbawione pewnego wdzięku, a nawet może i pewnéj wykwintności. Dach bowiem i ściany, są ułożone z gałązek palmowych; wewnątrz zaś chat, widać do koła (jak wskazuje drzeworyt) pełno porozwieszanych oszczepów, na półkach znów, mnóstwo łupin z kokosowych orzechów, które służą krajowcom za różne naczynia, wiele dosyć zręcznie plecionych koszów i t. p. przedmiotów, które cechują zamiłowanie w pracy i porządku tych azjatyckich wyspiarzy. Szkoda tylko że temu wszystkiemu nie przewodniczy jeszcze jakaś myśl wyższa... szczytniejsza.... lecz spodziewać się należy, że pod tym względem i dla nich niezadługo może, pomyślniejsza otworzy się przyszłość.

Kazimierz Mejer.

JAN MIKOŁAJ FRITZ.

Podajemy dziś życiorys i wizerunek człowieka, którego chociaż działalność literacka i społeczna, nie grzmiała głośną sławą, niemniéj jednak, nosi ona na sobie charakter bardzo pożytecznéj pracy, tem więcéj, godna uznania i pamięci, ile, że podejmowana była w pośród niesprzyjających okoliczności, niechęci i rozmyślnéj ignorancji. Wiadomo, że uczeni niemieccy, a nawet cała germańska społeczność, odznaczała się zawsze szczególną niewiadomością wszystkiego, co się działo na ziemiach słowiańskich, i jeżeli dziś, zbawienny wpływ nauki, w znacznéj części przyczynił się do tego, że niemieccy koryfeusze, bliżéj zapoznają się z obyczajami, historją, literaturą i cywilizacją narodów słowiańskich, bezwątpienia zawdzięczać to należy wielu uczonym mężom

niemieckim, którzy wyuczywszy się jednego, lub kilku słowiańskich języków, obeznawszy się dokładnie ze skarbami ich literatur, starali się za pomocą dzieł swoich i dziennikarskiéj prasy, rozszerzać zdrowe, sprawiedliwe i gruntowne pojęcia o narodach szczepu słowiańskiego, które bądź co bądź odegrały ważną rolę, w dziejach powszechnéj cywilizacji, a przyszłość przed nimi niezawodnie jest wielka, i brzemienna w wypadki historycznego i politycznego znaczenia.

Do takich pracowników należy policzyć ś. p. *Jana Mikołaja Fritza*, urodzonego 1809 roku w Frankfurcie nad Menem. Ś. p. *Fritz*, z pochodzenia niemiec, odebrał wychowanie w wyższéj szkole w frankfurcie, w tak zwanéj *Musterschule*. Przebywając następnie w Berlinie, wszedł w bliższe stosunki z polskimi tamże przebywającymi kupcami, i za radą jednego z nich, przeniósł się do Warszawy. Tu wkrótce uzyskał posadę w administracji rządowéj Teatrów Warszawskich i pracując usilnie, niebawem wyuczył się gruntownie języka polskiego, zasmakowawszy w literaturze polskiéj. Porzuciwszy posadę rządową, przez pewien przeciąg czasu poświęcał się obowiązkom domowego nauczyciela, aż nareszcie wyjechał do Krakowa i tam założył prywatną szkołę. W 1848 roku przeniósł się do Wrocławia, gdzie wkrótce mianowano go nauczycielem języka polskiego w szkole realnéj i lektorem języka polskiego w uniwersytecie Wrocławskim. Na tem stanowisku, oddany, oprócz tego ciągłym zajęciom i pracom literackim w polskim i niemieckim języku, pozostał ś. p. *Fritz* do śmierci, która nastąpiła w Wrocławiu, dnia 18 Lutego b. r.


Jan Mikołaj Fritz (Strona 195).

Działalność literacko-naukowa ś. p. *Fritza* właściwie, dwa miała cele. Z jednéj strony, swobodnie władając językiem polskim pisał po polsku i był współpracownikiem wielu pism polskich, z drugiéj, ta sama gruntowna znajomość języka polskiego i literatury, służyła mu za przedmiot do prac literackich w języku niemieckim, którego literaturę zbogacił kilkoma dziełami.

Prace literackie ś. p. *Fritza* w języku polskim, były jedynie dziennikarskie. Przebywając w centrum ziemi szląskiéj, bo w Wrocławiu, w korrespondencjach swoich do dzienników polskich zaznajamiał czytelników ze wszystkiem, co tylko było godnego uwagi na Szląsku, czy to pod względem historycznym, czy społecznym. Pisywał stale korrespondencje do „Gazety Rolniczéj,“ w których dotykane były obok rolniczych kwestji ziemi Szląskiéj, kwestje ekonomiczne, przemysłowe, moralny i materjalny stan włościan, jedném słowem wszystko, co z lokalnych szczegółów téj ziemi słowiańskiéj, zasługiwać mogło na uwagę światłego gospodarza. Pod względem historycznym i literackim, Szląsk, mógł i może jeszcze więcéj dostarczyć ciekawych szczegółów, to też badając zbliska życie, stosunki i obyczaje tamecznych mieszkańców, a przytem, mając pod ręką wiele historycznych materjałów, ś. p. *Fritz* w osobnych artykułach, lub korrespondencjach w czasopismach polskich, ciekawe czytelnikom o tem wszystkiem zdawał sprawozdania. Jakoż był on stałym współpracownikiem „Opiekuna Domowego,“ „Tygodnika Illustrowanego“ i innych pism tutejszych, jak również poznańskich, krakowskich i lwowskich, gdzie oprócz tego dotykał niejednokrotnie teatru, którego niepospolitym był znawcą i krytykiem.

Prace ś. p. *Fritza* w języku niemieckim, były obszerniejszego rozmiaru i oparte na szerszych podstawach naukowych. Będąc współpracownikiem kilku pism niemieckich, za główny cel położył sobie obznajmianie społeczności niemieckiéj z naszym światem umysłowym. Rozrzucając w tym rodzaju prace swoje po różnych niemieckich dziennikach, głównie pomieszczał swoje artykuły w czasopiśmie wychodzącém w Lipsku, pod tytułem: „*Unsere Welt*,“ którego był głównym filarem i redaktorem.

Będąc, jakeśmy wyżéj wspomnieli nauczycielem i lektorem języka polskiego w uniwersytecie Wrocławskim, widział dotkliwy brak porządnie opracowanéj grammatyki polskiéj dla swoich ziomków; jakoż niezadługo wydał w języku niemieckim grammatykę polską: p. t. *Elementarbuch der polnischen sprache zum Gebrauch von Gimnasien und Realschulen 1848*, która do 1857 roku doczekała się trzech wydań. Nadto wydał w 1861 r. wzory dla szkół niemieckich, wybrane z najlepszych pisarzów polskich p. t. *Auswahl polnischer Lesestücke zum Gebrauch für Schulen Breslau 1861*.

Chcąc obznajmić ziomków swoich ze skarbami naszéj powieściowéj literatury, ś. p. *Fritz*, przedsię-

wziął tłómaczenie polskich powieści na język niemiecki. Jakoż tłomaczył Korzeniowskiego, Antonowicza i Kraszewskiego, którego *Ostap und Jaryna* wydał w Wrocławiu 1856 roku z portretem Kraszewskiego i z życiorysem tegoż.

Krótki zakres niniejszego artykułu, nie pozwala nam z całą dokładnością wyliczyć wszystkich prac ś. p. *Fritza* w obu językach; wspomnieliśmy tylko o najważniejszych. Cichy i sumienny w pracach naukowych aż do pedantyzmu prawie, był rzeczywiście ś. p. *Fritz* wzorem pracy w swoim fachu nauczycielskim i literackim. Do ostatniéj chwili nie wypuszczał pióra z ręki i przed samą śmiercią odbywał jeszcze lekcje ze swymi uczniami. Umarł mając lat 61. Pisząc ten krótki życiorys, z całem uznaniem, rzucamy kwiaty pamięci, na świeżo usypaną mogiłę człowieka, który całe życie strawił w uczciwéj i pożytecznéj pracy, a siły stargał dla nauki. *M. Dzikowski.*

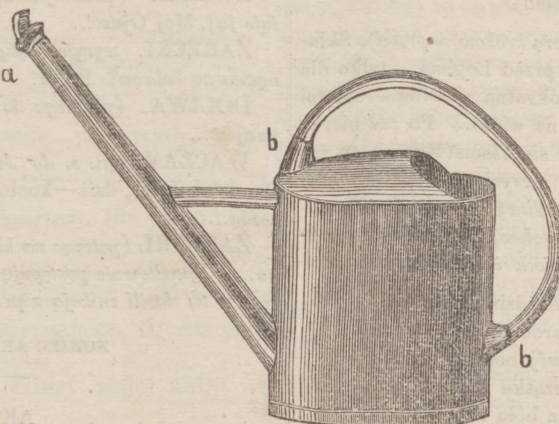


Fig. 1.—Konewka ogrodnicza. (Strona 200.)

MIŁOŚĆ i MIŁOŚĆ.

DRAMAT w 2-ch AKTACH

przez

M. Dzikowskiego.

(*Dalszy ciąg*, patrz Nr. 15-ty.)

SCENA XIII.

ŻARECKI, ANIELA.

ŻARECKI. (*bierze Anielę za rękę*). Usiądź tu, koło mnie... moje dziecko... i posłuchaj mnie... (*sadza ją na krzesełku i sam obok niéj siada*). Powiedz mi, Anielko, kochasz ty swego ojca?..

ANIELA. Mój Ojcze!..

ŻARECKI. (*głosem wzruszonym*). A czy ty wiesz, że twój ojciec... jest bardzo nieszczęśliwy?..

ANIELA. (*głosem stłumionym*). Nie wiedziałam... nie wiem...rozkazuj mi, mój drogi ojcze...ja wszystko zrobię... dla twojego szczęścia...


Fig. 2.—Sikawka ogrodowa. (Strona 200.)

ŻARECKI. (*j. w.*) Nie wątpiłem o tem nigdy... Posłuchaj mnie, moje dziecko; jesteś już kobietą... powinienem i muszę z tobą mówić, o bardzo ważnych rzeczach.. Twoja macocha... (*zatrzymuje się*).

ANIELA. (*j. w.*). Moja macocha...

ŻARECKI. Tak... (*po chwili*) twoja macocha... zdradza mnie... Ty rozumiesz, moja córko, co to jest zdrada kobiety dla człowieka, który ją... kocha... ubóstwia... prawda... ty rozumiesz to?...

ANIELA. (*j. w.*) Rozumiem...

ŻARECKI. A rozumiesz ty, co to jest, zdrada żony dla męża?... Wiesz ty, co to jest wyciśnięta hańba na czole człowieka, który się nigdy i niczem nie splamił?.. Wiesz ty, co to jest hańba wyciśnięta na czole, ręką własnéj żony?..

ANIELA. (*n. s.*) Co ja mam począć... nieszczęśliwa!..

ŻARECKI. Bo widzisz... ja od ciebie nic nie wymagam... ale powiedz mi tylko... co to był za list...

ANIELA. List był pisany do mnie, ale w tym liście, był przysłany drugi list... od brata twojéj żony, ojcze,— który jest w Warszawie... chciałam go jéj oddać właśnie... ale...

ŻARECKI. (*biegnie do ściany, zdejmuje mały krzyżyk i kładzie go przed Anielą*). Przysięgnij mi na ten krzyż święty, że mówisz prawdę!..

ANIELA. (*cofając się*). Mój ojcze!..

ŻARECKI. Nie chcesz!.. więc kłamałaś... więc kłamiesz... wiedziałem o tém...

ANIELA. (*wahając się*). Ja nie kłamałam... ja nie kłamię... (*porywa w ręce krzyż*). Tak.. przysięgam ci, ojcze... że... że mówiłam prawdę!..

ŻARECKI. (*biorąc ją za rękę*). Moje dziecko... przebacz mi... twój ojciec jest bardzo nieszczęśliwy... ale ja ci wierzę... bo ty mnie kochasz, moja córko... (*obciera chustką oczy*). Widzisz twojego starego ojca, który płacze... A wiesz ty, moja córko, co to są łzy człowieka, co trzy razy tylko w życiu swojem płakał?.. bo twarz moją, trzy razy tylko łzy obmywały... Płakałem po raz pierwszy w ten dzień, w którym na świat przyszłaś... to były łzy radości... później płakałem, gdy umarła twoja matka... dziś płaczę trzeci raz... Płakałem przy kołysce... płakałem przy grobie... a teraz płaczę pod ciężarem bólu, który mnie do ziemi przygniata... (*po chwili*). Ale dajmy już temu pokój na dzisiaj... Tak... to był list do ciebie pisany?.. prawda, moje dziecko?...

ANIELA. Prawda...

ŻARECKI. (*n. s.*). A jednak dałbym dziesięć lat życia, gdybym go mógł sam przeczytać... (*głośno*). A gdzież jest pan Wacław?.. Czy już odjechał?.. I nie pożegnał się zemną?..

ANIELA. Pan Wacław nie odjechał — jest zapewne w ogrodzie...

ŻARECKI. Pójdę go poszukać— pogadam z nim... Pomimo jego trzpiotowstwa, lubiłem zawsze tego chłopca... Szlachetna dusza wygląda z oczów tego awanturnika... No, nie gniewaj się na mnie, moje dziecko... (*całuje Anielę*). Jestem czasem za prędki, za gwałtowny, ale widzisz... no, już nic... już wszystko dobrze... (*całuje Anielę i wychodzi*).

SCENA XIV.

ANIELA. (*sama*).

(*Po chwili milczenia, postępuje parę kroków naprzód*). Skłamałam przed ojcem!.. Skłamałam przed Bogiem... tylko dla mnie jednéj, pozostała straszna... okrutna prawda... ostatni promyk mojego szczęścia... zagasł na wieki... Po raz pierwszy w życiu usta moje splamiły się kłamstwem... po raz pierwszy przysięgałam Bogu i... przysięgłam fałszywie... (*upada na kolana składa ręce do modlitwy—w téj chwili środkowemi drzwiami wchodzą Julja, Wacław, Doliwa i spostrzegłszy klęczącą Anielę, stają przy drzwiach i słuchają.*

Ale Ty, Wielki Boże, na gwiaździstym tronie!..
Co patrzysz w serca nasze, promieniami słońca...
Co ból i miłość łączysz w Swéj boskiéj koronie—
Miłość, jak Ty sam, bez początku i bez końca...
Dziś... padam tu z miłości, z bólu skamieniała...
Ty wiesz dla czego kłamię... i będę kłamała!..
(*schyla głowę*).

SCENA XV.

ANIELA, JULJA, WACŁAW, DOLIWA.

JULJA. (*podbiega do klęczącéj Anieli*). Anielko, co tobie jest...

ANIELA. (*wstając*). Co mnie jest?.. Mnie nic nie jest...

WACŁAW. (*do Anieli*). Pani przed chwilą klęczałaś... Co to miało znaczyć?..

ANIELA. Modliłam się...

JULJA. Modliłaś się o téj porze? tutaj?.. nie rozumiem cię, moja droga...

WACŁAW. (*do Anieli*). Czyżby panią dotknęło jakie nieszczęście?

ANIELA. Nieszczęście?.. nie... ja nie wiem... czułam tylko potrzebę poskarżyć się Bogu...

DOLIWA. (*podchodzi do Julji i odprowadza ją na stronę*). Pani, tu się dzieją jakieś straszne rzeczy, których ja odgadnąć nie umiem... to biedne dziecko, cierpi okropnie... może pani prędzéj na to co poradzisz... Aniela kocha Wacława... wiem o tém z pewnością... musiało coś zajść...

JULJA. Ona go kocha! Ona!.. Och!.. (*upada zemdlona na kanapę*).

DOLIWA. Rozumiem!..

WACŁAW. (*podbiega do zemdlonéj Julji*). Pani!.. Juljo!.. co ci jest... (*chwyta Julję za rękę*). Bez zmysłów... zemdlała... Na rany boskie, ratujcie ją...

ANIELA. (*podbiega do Wacława i podaje mu flakonik*). Tu... jest... flakonik... weź go pan... (*Wacław bierze flakonik, macza chustkę i obciera twarz Julji—Doliwa i Aniela stają obok zemdlonéj Julji—gdy się to dzieje, wchodzi Żarecki*).

SCENA XVI.

ANIELA, JULJA, WACŁAW, DOLIWA, ŻARECKI.

ŻARECKI. (*podbiegając do zemdlonéj Julji*). Co to jest?. (*do Wacława*). Co pan robisz?..

DOLIWA. (*do Żareckiego*). Żona twoja zasłabła... zemdlała...

ŻARECKI. (*odpycha gwałtownie Wacława*). Julja!..

WACŁAW. (*stawiając opór*). Pan ją zabijesz!..

ŻARECKI. Ja!?.

JULJA. (*przychodzi do zmysłów, podnosi głowę i siada*). Tak mi słabo... panie Wacławie... podaj mi rękę... pójdę do swego pokoju... (*podnosi się*) (*Wacław podaje jéj rękę*).

ŻARECKI. (*ciszéj do Doliwy*). Widziałeś!? Słyszałeś!?... słuchaj, będziesz świadkiem, jak mu w łeb strzelę!

JULJA. (*idąc wolno pod rękę z Wacławem ku drzwiom, spostrzega swego męża*) (*n. s.*). Mój mąż!.. tutaj...

ANIELA. (*podbiega do Ojca, chwyta go za rękę i całuje ją*). Mój Ojcze!..

ŻARECKI. (*wyrywa rękę i odpycha Anielę tak silnie, że ta upada na kolana*). Precz!

DOLIWA. (*podbiega do Anieli*). Zlituj się nad dzieckiem twojém!..

WACŁAW. (*n. s. do Julji, już przy samych drzwiach*). Pamiętaj Juljo, dziś—koniecznie—nie mamy czasu do stracenia...

ŻARECKI. (*patrząc na klęczącą Anielę*). (*czule*). Moja córka... (*gwałtownie postępując parę kroków ku drzwiom, w których w téj chwili znikają z progu Wacław i Julja*). Podli!..

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II-gi.

Teatr przedstawia ogród podczas pięknéj majowéj nocy—w głębi widać sztachetową bramę—z prawéj strony, bliżéj sceny ławka—księżyc—gwiazdy.

SCENA I.

WACŁAW. (*siedząc na ławce.*) (*po chwili milczenia wstaje z ławki—spogląda na zegarek*). Pierwsza dochodzi... jeszcze jéj niema... Czyżby mnie zawiodła?.. Nie— Julja kocha mnie prawdziwie... Przysięgła, że przyjdzie. Wszystko gotowe... powóz czeka za ogrodem... Jutro o tym czasie, będziemy już bezpieczni, za granicą... (*siada na ławce*). Zdaje się, że Żarecki, zaczyna się domyślać, jaki istnieje stosunek pomiędzy mną, a Julją... tembardziéj dzisiaj potrzeba wszystko skończyć... jutro mogłoby być już za późno... ale do pioruna, czyż zawsze za późno sięgać będę po moje szczęście?... Czyż wiecznie pozwolę sobie wydzierać to, do czego mam niezaprzeczone prawo?.. A ona taka nieszczęśliwa... a ona mnie tak kocha... a ja bez niéj żyć nie mogę... Nie, gdyby mi przyszło własną głową nałożyć, gdybym wiedział, że na stos mnie po prowadzą— muszę ją ocalić!.. Co mi tam świat, ludzie; co mi tam opinja... Razem, ręka w rekę, serce przy sercu, potrafimy sobie otworzyć taki świat, który nam wystarczy bez ludzi, a opinji plunę w oczy... Niech mnie nazywają uwodzicielem, niech ją nazywają kobietą występną... Ja zawsze dla niéj pozostanę tem, czem i dziś jestem, a ona— moją gwiazdą, moją świętą gwiazdą, do któréj się modliłem, i którą zawsze ubóstwiać będę... (*zamyśla się — po chwili ukazuje się w głębi postać kobiety, ubranéj w bieli*). Cyt!.. słyszę jakiś szelest... To ona... to Julja... (*postępuje parę kroków ku zbliżającéj się kobiecie*). Nareszcie jestem na progu do nowego życia... (*chwyta za rękę zbliżającą się kobietę*). Juljo! chodź prędzéj... nie lękaj się niczego... jesteś moją, ja należę do ciebie... jeszcze chwilkę, a nikt już nas rozdzielić nie zdoła... Resztki gorzkiego wspomnienia, spiję z ust twoich własnemi usty, chociażbym się miał otruć niemi... Pocałunkiem zamknę ci oczy na przeszłość... pocałunkiem zbudzę cię do przyszłości... i spoglądać będziesz z roszkoszą temi wielkiemi swojemi oczami na drogę naszego życia... a jeżeli ci łza zabłyśnie na rzęsach — to będzie tylko łza kobiety, co umie i wtedy zapłakać, kiedy na około otoczyła ją atmosfera rajskiego szczęścia!.. (*całuje ją w rękę*). O! Juljo! tyl-

ko aniołowie tak Boga kochają, jak ja ciebie kocham, moja najdroższa!.. A ty? czego drżysz?.. czego się boisz?.. Patrz, przy twojém sercu, bije moje serce... Ach, ta jedna chwila, wystarczy za wszystko, co tylko w życiu wycierpiałem... Juljo! nie drżyj tak... ja ci przysięgam w obec Boga, który patrzy na nas przez światło tego księżyca i tych miljonów gwiazd, że cię nie opuszczę nigdy, nawet wtedy, gdybyś mnie sama odepchnęła... Nic nie mówisz?.. Och, powiedz choć jedno słowo, jedno tylko... powiedz mi to słowo, któreś mi tyle razy szeptała do ucha... powiedz raz jeszcze, że mnie kochasz...

SCENA II.

WACŁAW, ANIELA.

ANIELA. (*odsłaniając twarz*). Ja panu przyszłam powiedzióć... co innego...

WACŁAW. Co to jest!.. to pani!?. pani tutaj, panno Anielo!?..

ANIELA. Przyszłam umyślnie...

WACŁAW. Dla czego pani przyszłaś?!. Dla czego pani odrazu nie odsłoniłaś twarzy?.. Panno Anielo, taki podstęp jest ohydny... na taką zdradę, jest tylko jeden wyraz...

ANIELA. Wiedziałam o wszystkiem...

WACŁAW. Pani wiedziałaś o wszystkiem?.. O czem pani wiedziałaś?.. Kto pani powiedział?..

ANIELA. Wiedziałam, że pan dzisiaj miałeś uwieść... wykraść żonę mojego ojca...

WACŁAW. Pani!!..

ANIELA. Byłam pomimowolnym świadkiem sceny, która dziś miała miejsce pomiędzy panem, a moją macochą.,. Wszak ją pan pamiętasz?.. O, i ja jéj nigdy nie zapomnę... Skamieniała od bólu, słyszałam wszystko... nawet czas naznaczony w ogrodzie...

WACŁAW. (*gwałtownie*). A! piekło sprzysięgło się na moją zgubę!.. O, moja matko! pierwszy raz w życiu złorzeczę ci, żeś mnie na świat wydała!..

ANIELA. Nie bluźnij pan!..

WACŁAW. Więc czego pani żądasz odemnie? Czego pani chcesz?.. Po coś pani przyszła tutaj?.. Po co? Czy naigrawać się ze mnie?.. Czy szydzić ze mnie?

ANIELA. Przyszłam odezwać się do pańskiego honoru... do pańskiego sumienia...

WACŁAW. Tak?.. A gdybym ja pani powiedział, że moje sumienie, mój honor, złożyłem u stóp kobiety, którą kocham?.. Pani wiedziałaś... pani słyszałaś... pani wiesz wszystko... Tak jest... ja kocham Julję... i jestem zdolny paść trupem u jéj nóg... Panno Anielo! ja jestem na wszystko przygotowany... nawet... gotów jestem... kazać moim ludziom przytrzymać panią... i dopełnić tego, co zamierzyłem... bo ja przysiągłem ocalić Julję... wyrwać ją ze szponów starca, który ją zabija... bo miłość moja — to nie żadna fantazja... bo miłość moja, jest tak wielka, jak jest wielkie nieszczęście, które mnie i Julję dotknęło..

ANIELA. Panie! masz przed sobą córkę, nieszczęśliwego ojca... ty chcesz plunąć na jego siwe włosy... Ja przyszłam powiedzieć ci, żeś tego robić nie powinien... bo by to było... niegodne!...

WACŁAW. Powiedz mi pani, czyś kochała kiedykolwiek w życiu swojem?

ANIELA. Czy ja kochałam?.. Czy ja kochałam?.. (*po chwili*). Kochałam raz w życiu... (*po chwili*). I dzisiaj ciebie jeszcze kocham, panie Wacławie... chociaż ci nigdy tego nie mówiłam...

WACŁAW. Pani!!..

ANIELA. O, bądź spokojny, panie Wacławie... ja od ciebie nic nie żądam... ja nie mam prawa żądać niczego... ale zlituj się nad moim ojcem... nie porywaj mu żony... nie zakopuj go żywcem do grobu... miéj litość nad nim... zlituj się nademną!..

WACŁAW. A.... przez jakież ja piekielne próby przechodzić muszę... I to się nazywa życie... (*gwałtownie*). Podłe jest takie życie!!...

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Tępienie owadów.

Co roku z wiosną słyszymy narzekania gospodarzy i ogrodników naszych na owady, niszczące ich rzepaki, kapusty, rzepy, kwiaty, warzywa, krzewy, a nawet i drzewa. Co roku nowe ogłaszają się na tępienie tych miliardów małych nieprzyjaciół przepisy, a jednakże wszystkie te przepisy nieodpowiadają jeszcze swemu celowi. Z nadchodzącą wiosną pospieszamy, z jednym jeszcze nowym środkiem, który pochlebiamy sobie, okaże się skuteczniejszym od dotąd podawanych. O ile mogłem sam na własne oczy się przekonać, okazał się u nas w Paryżu zbawiennym. Doświadczenia odbywały się w tutejszym ogrodzie botanicznym; wynalazcą zaś jego, jest znany z wielu swych odkryć, assystent i preparator profesora Chevreul — Pan Cloëz. Bez długich wstępów przystępujemy odrazu do jego recepty, którą on bezinteresownie do powszechnéj podał wiadomości.

Lekarstwem, czyli raczéj trucizną, gubiącą od razu te uprzykrzone i objadające nam liście, owoce i różne ziemiopłody mszyce, muszki, chrząszczyki i inne pochewkowate owady, jest płyn składu następującego: Bierze się 8 łutów (100 gramów) wiórków *z gorzkiéj kwasji* 1½ łuta, (20 gramów) *ostróżki ostréj* (delphinium staphisagria) na proszek utartéj, nalewa się na nie 3 kwarty wody i gotuje aż do zredukowania téj ilości do 2 kwart, studzi się potem ten płyn, ostrożnie, z wierzchu zlewa, cedzi, i lekarstwo już gotowe.

Kwassję gorzką nazywa Dr. Czerwiakowski *gorżcielem właściwym* albo *gorzkiem drzewem*. Jest to krzew najwyżéj 15 stóp dorastający, z korą prawie gładką i żółtawo-popielatą. Rośnie tylko w Brazylji, Gujanie, głównie zaś w Surynamie. Wydaje on znane po składach aptecznych *drzewo gorżciela*, inaczej *surynamskiem* albo *prawdziwem*, (lignum quassiae surinamense *v.* verum), zwane zawierające w sobie gorzki i bezwonny pierwiastek *kwasji*, niegdyś w zimnych febrach zadawany. *Ostróżka* zaś *ostra*, inaczéj: gnidoszem, modrzeńcem, zielem Ś-téj Katarzyny, brunatkiem polnym, sokolą grecką, albo u ludu *wszem nasieniem* nazywana, ma za ojczyznę południową Europę, chociaż i u nas pewnieby się znalazła lub zaaklimatyzować dała. Jest to ziele dwuroczne, z korzeniem wrzecionowatym, z łodygą na 2 do 3½ stóp wzniesioną, tęgą, kosmatą, koloru brudno-czerwonego; liśćmi ciemno-zielonemi, gronem wiotkim i wielokwiatowym; z kwiatem o działkach jajowatych, blado-modrych lub ciemno-fiołkowych, z płatkami lekko u podstawy spojonemi, białawemi lub też górą modrawemi. Torebki ma brzuchate, kosmate. Nasiona wielkości grochu trójgraniaste, z jednéj strony wypukłe, koloru szarego. Najlepiéj lubi pola jałowe, odłogi i pustkowia.

Z nasion to tego ziela w aptekach: *semina Staphisagriae v. Staphidisagriae*, po polsku *nasionami wszemi* lub *S-téj Katarzyny* zwanych, wyrabiają do dziś dnia tak zwaną popularnie *maść Kapucyńską*, na owady człowieka nękające używaną. Extrakt z tych ostro-gorzkich nasion czyli *delfinin*, obficie w ogóle w *ostróżkach*, mianowicie w *gnidoszu* się wytwarzający, jest właśnie tym trującym owady pierwiastkiem. Cena 2½ funt. (1 kilogr.) tak wiórków z kwasji, jak i ostréj ostróżki, w Paryżu 8 złp. (4 fr.) wynosi.

Użycie, powyższym sposobem otrzymanego płynu, jest nadzwyczaj proste. Idzie bowiem o to tylko, aby dobrze nim zmoczyć szkodliwe owady. Roślina od niego bynajmniéj nie

ucierpi, możemy być oto zupełnie spokojni. Jednakże, ponieważ cena tego lekarstwa jest gdy się wszystko w aptekach kupuje, dosyć wysoką, gdyż kwartę obliczają tu na 3 gr. polskie, zatém głównem naszem staraniem być powinno obok dobrego oblania owadów i najekonomiczniejsze jego użycie. Nasze zwyczajne sikawki i konewki ogrodowe za nadto lekarstwa by tego marnowały.

Otóż w pomoc inwencji pana Cloëz, jakby w samą porę, przyszedł konstruktor narzędzi ogrodniczych, p. Raveneau (ulica Rochechouart Nr. 45 w Paryżu). Mamy te jego narzędzia poniżéj na rysunku przedstawione.

Fig. 1, wystawia nam konewkę ogrodniczą, tem od zwyczajnych odróżniającą się, że na koniec dziobka jéj *a*) nie sitko, durszlak, ale niewielką mosiężną, zagiętą łapkę się zasadza. Ściśnięty przytem otwór tego dziobka sprawia to, że przechyliwszy te konewkę, płyn uderzając o nią rozczepia się w cienki przezroczysty wachlarz, jak to na fig. 2-éj najwyborniéj widzimy. Zwracam przytem uwagę na przyczepienie ucha *bb*) téj polewaczki, która dziś inaczéj w Paryżu się nie wyrabia. W saméj rzeczy konewkę z takiem uchem, daleko łatwiéj i zręczniéj jest wypróżnić, jak za pomocą ucha do tyłu konewki przylutowanego.

Ten sam system zakrzywionéj mosiężnéj rączki, zastosował p. Raveneau i do sikawki ogrodowéj. Fig. 2 dokładnie przedstawia nam sposób, w jaki się odbywa to tępienie owadów, na winoroślach, brzoskwiniach, morelach i t. p. drzewa obsiadających. Jest to zwykła mosiężna syrynga, z któréj wyciągając metaliczny piston i trzymając w kuble, płynem się napełnia. Za silném naciśnieniem zaś tłoczka téj sikawki, lekarstwo i na szczyty wysokich drzew zaniesione być może. Koniec téj sikawki może być albo prostą, ostro-kręgową, różnéj grubości rurką, albo z dowolnie wkręcaną mosiężną łapką. W ostatnim przypadku tworzy się z płynu wachlarz, którego grubość zależy od wielkości otworu przy wylocie. Tym sposobem z pomocą tych bardzo praktycznych narzędzi, dowolnie regulować możemy ilość używanego lekarstwa.

Nabywszy od pana Raveneau na własność taką sikawkę, jakoteż i kilka dziobków jego systemu, pierwszą za 15 fr. ostatnie po 5 fr. za sztukę (co uważam za ceny o wiele od wartości realnéj za wysokie) zamyślam z przyszłą wiosną przesłać je do kraju.

Amatorowie ogrodnictwa, będą mogli o praktyczności tych narzędzi przekonać się we wsi mojéj Prażmowie pod Grójcem u ogrodnika Tomasza.

Chętnie też podejmuję się przysługi, dla współ obywateli w nabyciu tak tych, jako też i innych przezemnie opisywawanych narzędzi i maszyn w Paryżu, za nadesłaniem pieniędzy, pod poniższym adresem. *Bronisław Ryx.*

PRZYRZĄDY w GOSPODARSTWIE DOMOWEM.

Nowy klucz bezpieczeństwa.

— Pan Franciszek Mackl, urzędnik drogi żelaznéj południowéj austrjackiéj (w Wiedniu, Landstrasse, Salesianer gasse 24), wynalazł bardzo prosty lecz dowcipny klucz, który można nazwać: *kluczem bezpieczeństwa.*

Posiadanie klucza w kieszeni, nie dowodzi jeszcze, żeśmy swoją kassę lub drzwi swojego domu dobrze zamknęli— a często się zdarza, że przy natłoku czynności, oddaliwszy się z domu, znajdujemy się w nieprzyjemnem położeniu, wracania znowu do niego, jedynie dla przekonania się, czy obawa nasza nie była płonną lub czyśmy dobrze zamknęli. Klucz na rysunku przedstawiony, usuwa podług p. Mackl'a wszelką wątpliwość.

Może on mieć rozmaitą formę i wielkość; po obu jego przeciwnych stronach znajdują się w kierunku długości (obacz Fig. 1. *a* i *à*) dwa rowki, takiéj długości, aby sięgały do platy stawidłowéj (Hemmplatte), która tutaj zastępuje miejsce platy zamkowéj (Schlossplatte).

Tu zaczyna się obrączka *b* mogąca się obracać. Obrączka ta jak ją *b*, *e*, w przecięciu pokazują ma wycięcie, przystające do rowków klucza *a* i *à*. Na powierzchni okrągłéj obrączki przy *b*, w kierunku przeciwnym rękojeści, znajduje się ukryta sprężynka, do zatrzymywania obrączki, kiedy jéj wycięcie znajdzie się w kierunku rowka *a* lub *à*, dopóki sztyftem znajdującym się w placie, kierunku tego nie zmieni.

Do klucza tego należy właściwa platka kluczowa. Platka ta składa się z 3 części, z platki dolnéj z pół okrągłym otworem, przez który sztyft przechodzi i ze zwyczajnéj gładkiéj, górnéj platki.

W otworze porusza się ów sztyft doskonale pasujący, lecz mogący się podawać na prawo i lewo.

Przy wkładaniu klucza, sztyft pochwycony bywa przez jeden lub drugi rowek klucza, a przy zakręceniu, sztyft posunie się daléj to jest do obrączki *b*, opatrzonéj wycięciem *e*. Skutkiem tego musi i obrączka na kluczu przebyć ową drogę około połowy osi i połączyć się swojem wycięciem z którymkolwiek rowkiem na kluczu.

Nowy klucz bezpieczeństwa. (Strona 200.)

Fig. 3-cia, ma na sobie znak w formie gwiazdki na drążku kluczowym w jednéj połowie, zaś na obrączce tenże sam znak w drugiéj połowie. Jeżeli więc przez zakręcenie klucza, zasunąłem rygiel to sztyft postawi obrączkę w takiem położeniu, że znaki na kluczu i obrączce połączą się z sobą i to będzie stanowiło dowód, żeśmy dobrze zamknęli. Przy odmykaniu rzecz się ma przeciwnie; obrączka i sztyft przybiorą inny kierunek i to pokazuje rozdzielona gwiazda na Fig. 4-ej że kassa lub drzwi nie są zamknięte.

PP. Ślusarze tutejsi powinniby znieść się z panem Macklem i model takiego klucza sprowadzić, dla zastósowania w praktyce. Każdemu z Czytelników zdarzyło się nieraz w życiu, iż znajdując się zdaleka od domu, mimo klucza który miał przy sobie, był jednakże w wątpliwości, czy dobrze swoją kassę zamknął, a cóż dopiero mówić o ludziach pieniężnych, bankierach, kapitalistach i kassjerach—którzy w każdéj chwili, gdziekolwiek się znajdują, muszą być pewni że drzwi swéj kassy dobrze zamknęli. Otóż za pomocą tego małego i niekosztownego przyrządu, jakeśmy go opisali, obawę ich zaspokoić można; dla tego też klucz ten nazwaliśmy *kluczem spokojności* albo *bezpieczeństwa* (Sicherheitsschlüssel, la Clef de sureté).

Jan Pietraszek.

Patrz Dodatek.

Dodatek do N^{ru} 17^{go} Opiekuna Domowego 1870 r.

O WYCHOWANIU.

(Zbytki w strojeniu dzieci. — Pobłażanie. — Zbytnia surowość dla dzieci).

Największa część utworów Przyrody nie odpowiada sama przez się celom społecznym, to jest pożądanym przez ludzi, lecz wymaga niezbędnie podjęcia pewnéj pracy około siebie; i urobienia ich odpowiedniego potrzebom kruszec musi być przetopionym, drzewo szczepioném, zwierzęta muszą być odpowiednio układane (tresowane). Człowiek sam sobie zostawiony, czyż przedstawia ową potęgę władającą tworami Przyrody która mu zjednała nazwę króla stworzenia? czy stanowi jednostkę społeczną działającą na korzyść ogółu, przyczyniającą się do podejmowania prac, dobro społeczne mających na celu. Usposobienie człowieka od pierwszych niejako chwil jego istnienia, do życia społecznego i podanie mu możności stania się użytecznym nietylko sobie ale i ogółowi, wszczepianie w niego nauki, jako też wdrażanie w postępowanie takie, ażeby nie działał na szkodę bliźnich, oto jest cel wychowania.

Dziki wyspiarz Oceanji, jakże małą wyższość przedstawia od otaczających go innych istot, czyż nie jest upośledzonym w porównaniu z człowiekiem ukształconych społeczeństw. Nawet w społeczeństwie ukształconem urodzony człowiek, jeżeli nie pracowano nad nim, pospolicie zamiast korzyści społeczeństwu, przynosi raczéj szkody współbliźnim.

Głównymi działaczami wpływającymi na człowieka dla odpowiedniego ukształcenia go są: wpływy rodziny, szkoły, kazalnicy, jako też całego społeczeństwa. Pełnoletni człowiek, starzec nawet, ciągle ulega wpływom czyli oddziaływaniu społeczeństwa, co wytwarza naukę doświadczenia w życiu.

Umiejętność wychowania człowieka, stanowi ogromny obszar wiedzy do badania; obecnie przedstawiamy tu niektóre myśli, o wpływie rodziców na wychowanie, a raczéj obowiązki ich względem dzieci.

Zaniechanie starań o byt materjalny dzieci, należy do wyjątków w normalnym stanie rodziny; bardzo rzadko bowiem zdarzają się rodzice opuszczający swe dzieci, niedbający o ich wyżywienie i odzież. Lecz niestety dosyć jest powszechnem, niedostateczne czuwanie nad wychowaniem należytem, nie z braku dobrych chęci, lecz przez nieświadomość, a wtedy rodzice zaniedbują prostować zboczenia, które z postępem czasu wyradzają się na zdrożności a potém i występki. Szczegółowe badanie historyi dziecinnego wieku złoczyńców, najdowodniej przekonywa: że niegdyś nad nimi w ich młodości czuwano; były to nieraz silne potęgi umysłowe, a przez zaniedbanie odpowiedniego wychowania, zamiast chluby, przyniosły zakałę ludzkości.

Najpowszechniej uderzającym jest zbytek w strojach dzieci, zbytek ten przedewszystkiem jest plagą miast. Dosyć spojrzeć na gromadki dziatwy snujące się po ogrodach; wykrochmalone, wysznurowane aż do skrępowania swobody ruchów, niezbędnych dla dziecka. Naprożno je zachęca bona lub matka do zabawy, najlżejszy bieg zmusza je do spoczynku, bo obcisła odzież utrudnia oddychanie, zamiast zabawy sprawia im przykrość. Toż samo rzec można o obuwiu jak można najciaśniejszém, a tak zrobionem: iż dziecko chodzi jak na szczudłach. Cała powierzchność dziecka najczęściéj świadczy, iż matka wystroiła żywą lalkę, jakby dla przypomienia sobie czasów własnéj młodości. Niedosyć na tém, każde zgniecenie lub splamienie, niekiedy nawet drogiéj sukienki, niestety czasem nad możność rodziców kosztownéj, sprowadza ostre połajanie a nieraz i czynne doraźne skarcenie. Czyż to daje możność dzieciom korzystania z całą swobodą z zabawy? a chociaż powietrze lepsze w ogrodzie niż w zamkniętém mieszkaniu, lecz w domu swoboda ruchów, bo odzież nie odświęta, nic też dziwnego że dziecko w ogrodzie tęskni za domem. Zapytawszy matek dla czego postępują nielitościwie w tym względzie, jako wrogi własnych dziatek: odpowiadają że robi się to dla oka ludzkiego. Niechcą wziąść tego pod uwagę, że oko rozumne zgorszy się tém co jest nienaturalne i szkodliwe a oko próżniaczéj gawiedzi, chętnie pogoni za dojrzalszemi osobami, a na dziatwę ledwo z roztargnieniem spojrzy. Próżność niestety jest tu głównym czynnikiem; matki przedewszystkiem wysadzają się na najdziwaczniejsze ubrania, łakną pochwał oddawanych dzieciom, bo wiedzą że te hołdy, chociaż czcze, im się należą, za wierne naśladowanie żurnalów Paryzkich. Próżność rodzi próżność i to właśnie jest największem złem jakie ztąd wynika; dziatki postrojone niełączą się w zabawach z dziećmi skromnie odzianemi; i one też naśladując starszych dobierają sobie lepsze towarzystwa, ma się rozumieć odznaczające się wyszukaną odzieżą. Niejedna matka ze łzą w oku słucha, gdy zapytane dzieci dla czego się niebawią, odpowiadają „nas wyłączono dla tego że jesteśmy w codziennych sukienkach;“ To nieraz stać się może bodźcem strojenia dzieci nad możność, bo nie każdy ma dostateczną moc ducha, by się oparł tak silnéj pokusie. Błaha rzecz z pozoru jaką jest zbytek w odzieży dzieci, po bliższem jéj zbadaniu, jest jakoby zarodem wielu zdrożności i występków. Obudza w dzieciach żądzę wywyższenia się, opartą nie na zasłudze rzeczywistéj; podnieca do próżności, którą wszelkiemi siłami przy staranném wychowaniu powściągać należy. Od wczesnéj młodości przyzwyczajone dzieci do błyszczenia świetnością szat, czyż niewyrosną na ludzi, którym zbytek w odzieży stanie się niezbędną koniecznością? Doświadczenie pokazuje, że niejedna niewiasta, nie jest w stanie oprzeć się pokusom gdy się te przedstawiają pod postacią drogich szat i świecideł, że niepomna na zgubne następstwa, schodzi z drogi uczciwości, byleby zadosyć uczynić żądzy wystawności w ubiorze. A jakże to bolesną jest rzeczą, gdy pomyślimy że zarody téj żądzy, zaszczepione w niéj zostały nieoględną macierzyńską ręką!

Zbyteczne pobłażanie dzieciom, pieszczenie ich, jest także bardzo upowszechnionem; od rozpieszczenia dzieci wstrzymać się nawet niemogą ci, którzy pojmują złe ztąd następstwa, a dla usprawiedliwienia siebie, mają tę wymówkę: gdy przyjdzie dziecko do rozumu, to wady dziecińswa dadzą się poprawić, — co jest najzupełniejszym błę-

dem. Dziecko, odkąd myśleć zaczyna, wyrabia już w sobie pojęcia o tém że źle zrobiło; zdaje mu się iż można bić inne dzieci, rzucać kamieniami, szczuć psem i t. p. i to wcale złem niejest. Każda zdrożność, powinna być karconą odpowiednio; przy ciągłem czuwaniu nad postępowaniem dzieci, słowne skarcenie, z przedstawieniem skutków popełnionego złego jest wystarczające, jeżeli to, przez brak nadzoru lub nieoględność zostało zaniedbaném, później skarcenie słowne już niewystarcza. Surowe kary szkólne, najpowszechniéj stósowane bywają dla dzieci, którym w domu pobłażano; a jakie wielkie trudności musi pokonywać szkoła, zanim usunie złe w dzieciach nabyte przez niedobre wychowanie domowe. Dzieci muszą pokutować niejako, za niedostateczne czuwanie nad sobą rodziców; zniechęcają się do szkoły, wynosząc z niéj często tylko gorzkie wspomnienia.

Jak pobłażanie jest szkodliwem tak i zbytnia surowość nierównie jest złą. Zdaje się rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że tylko w bardzo wczesném dzieciństwie, dla przełamania uporu dziecka, potrzeba się uciekać do różczki; później ciągłe czuwanie i praca nad dzieckiem, z bardzo małymi wyjątkami, czyni rózgę w ręku rodziców niepotrzebną, same napomnienia z odpowiednią siłą wyrzeczone, kary lżejsze, n. p. stanie na jedném miejscu; odosobnienie, odmówienie przechadzki i t. p. są wystarczającemi. Postępowanie rodziców zbyt surowe, bywa także bardzo często nieodpowiedniem, skutkiem niewyrozumiałości, niecierpliwości lub ciężkiéj nieświadomości. Ciągłą nieustanną czujność nad dziećmi, chcą oni zastąpić wybuchami srogości; lekki lecz ciągły podmuch rodzicielski, popychać mający łódkę żywota dziecinnego, zamieniają na rzadkie ale silne uragany, grozą chcą zastąpić pracę czuwania. Bezpośredniem następstwem takiego postępowania jest ostudzenie miłości dzieci do rodziców, a wzrastająca bojaźń, i z nią brak zaufania oraz otwartości do rodziców, staje się niestety powodem wielu szkodliwych następstw w przyszłości. W grozie chowane dzieci, nawet wyrosłszy na ludzi, niemogą się z téj bojaźni otrząsnąć; zamiast wypowiedzenia otwarcie swych myśli rodzicom, uciekają się do pośrednictwa osób trzecich, które przy najlepszych chęciach, niezapobiegną brakowi zaufania zobopólnego; najsilniéj i najśmielszy węzeł rodzinny, ulega zwolnieniu a niekiedy rozerwaniu. Dochodzi do tego, iż widzieć można, pełnoletnie już dzieci, uważające matkę lub ojca jako przeszkody w ich powodzeniu, co ma miejsce najczęściej przy urządzaniu stosunków majątkowych.

W postępowaniu z małemi dziećmi, rodzice powinni mieć na uwadze następujące prawdy: dzieci dla braku zastanowienia i doświadczenia jakie daje życie, niezdolne do panowania nad sobą, i niepojmujące tego, że drobne z pozoru uchybienia stać się mogą szkodliwemi, koniecznie muszą popełniać szereg błędów mniejszych lub większych. Zachowanie się rodziców powinno być o ile się da sprowadzającem dzieci ze zboczeń na drogę rzeczywisego dobra, hamującem wybryki żywości wieku.

Napominanie i karcenie, powinno być wymierzane z zimną krwią bez gniewu i uniesień, tak, jak ogrodnik nie może się gniewać bynajmniéj, okrzesując drzewko z bocznych wilków, a grzędy opielając z zielska, bo wie, że w saméj naturze rzeczy, leży owa konieczność puszczania się chwastów, które tylko pracą swoją wykorzenić może. Słowém w wychowaniu dzieci potwierdza się ogólne prawo moralne: tak jak również wszelkie niepowodzenia, są ponajwiększéj części skutkiem niedbałości i opuszczenia się w pracy.

NAJŚWIEŻSZY IMPROWIZATOR.

HUMORESKA

przez

Al. Św.

> O moja szlachetna ojczyzno! kiedyż przyjdziesz do téj perfekcji że przyznasz: iż dwa a dwa cztery *i kiedy miotłę zaczniesz nazywać miotłą?*
>
> Thackeray.

Jest to jedna z bardzo kłopotliwych pozycji dla młodego człowieka być na tańcującym wieczorze i nie umiéć tańczyć. Wtedy bowiem właściwie nie wiadomo, co począć ze swoją figurą, ażeby siebie i drugich nie znudzić. Młode panny, które w zabawach tego rodzaju cenią przedewszystkiem w mężczyznie zdolności danserskie z lekceważącem pominięciem innych zalet, chętnie stronią od krótkiéj nawet z nimi rozmowy. Taniec jest często najlepszym paszportem dla przebycia rogatki kobiecych względów. Cóż więc robić gdy braknie téj potężnéj rekomendacji w salonie? Przysiadać się do poważnych matron i rozwijać z niemi popularnym sposobem filozofję praktyczną? to nudzi; — rozwiązywać, z podżyłymi ojcami łamigłówki polityczne i wypychać głowy Napoleonow, Bismarków, Beustów planami o których im się nawet nie śniło? — to usypia; bawić się *w ptaszka* z dziećmi? — nie wypada; — grać w karty? — nie zawsze można, zwłaszcza jeżeli psotny los postawi przeciw sobie dwa tak nieprzejednane żywioły jak np: czczość portmonetki nudzącego się i wysokie zdolności karciane zasiadających około zielonego stolika. Pozostaje więc tylko ziewać, gapić się, ścigając sennem okiem wirujące pary i przemówić kiedy niekiedy kilka wyrazów do tych, którzy przebiegając, tak potrącają, nie ostróżnie i płacą za bolesny karambul grzecznem — *pardon*. Wszystko to zarówno żenuje; jak jest fatalnem i zabijającem, zwłaszcza jeżeli ową ofiara choreografji jest człowiekiem wyższym o całą różnicę genjuszu od umysłów pospolitych, jeżeli wreszcie ta ofiara jest wielkim poetą, jakim był właśnie nasz Nikanor Serlicki. Mały, długowłosy, tęsknolicy i błędnooki wieszcz był jednak o tyle szczęśliwszym od innych śmiertelników przechodzących podobne koleje, że talent jego poetycki był znajomy obecnym z bardzo dobréj strony i mógł przy pierwszéj lepszéj sposobności zajaśnieć w całéj pełni. Z pewnością miał takie przekonanie o swojem położeniu Nikanor i łagodził je nadzieją prędkiego wypłynięcia na wierzch. — Reszta zaś towarzystwa przypominając sobie czasem że ma w swém gronie zdatnego poetę, uważała za bardzo właściwe dla wieszcza majestatyczne podpieranie pieca. Pomimo jednak téj łaskawéj pamięci, Serlicki byłby pozostał przez cały wieczór w cieniu i w téj wspaniałéj postawie filara salonowego, gdyby nie to, że był człowiekiem który umié zawsze stanąć po nad przykrymi warunkami i do swéj woli je regulować. A chociaż twarz jego wyrażała napozór nudę i pewien rodzaj tęsknego zamarzenia, pilnie jednak śledził cały ruch zabawy a w zamglonem jego oku; często błyskał radosny uśmiech, niby odblask wesołéj w głębi duszy rozmowy. Widocznie Nikanor miał na dziś jakiś skryty plan, — który spodziewał się szczęśliwie wykonać. Jeden tylko szczegół tego planu mógł być spostrzeżonym i to tylko przez bardzo wprawne oko, — t. j. że poeta bardziej obserwował niebrzydką córkę gospodarza domu, niż inne kobiety. Nie podobna powiedzieć czy panna Helena równie często

i gorąco odpowiadała na powłóczyste jego spojrzenia, to jednak pewna, że tych miłosnych spojrzeń nie przyjmowała obojętnie. Zmęczona zapamiętałym tańcem, chłodząc się wachlarzem, zbliżyła się do stojącego między firankami okna w teatralnéj pozie Serlickiego, który spostrzegłszy ją wpadł natychmiast w głęboką zadumę i rzekła z powabnym uśmiechem:

— Dla czego pan nie należy do naszéj zabawy?

— Dziękuję pani już piłem dwie szklanki, odrzekł wieszcz niby budząc się z zamyślenia, w którem rozumie się, nie wypadało mu usłyszéć treści pytania.

— Ależ przecie ja nie o herbacie mówię— cóż to? pan widzę w jakimś marzącym nastroju?

— Przepraszam mocno za złe zrozumienie wyrazów pani—rzekł poeta niby zbierając myśli — ale natura moja podlega tak wyjątkowym prawom, że niezawsze jestem w sile panować nad sobą i czuć to, co się na około mnie dzieje.

— I o czemże pan myślał w téj chwili?

— Myśli moje były tak dziwne, tak odskakujące od rzeczywistości, odrzekł poeta z lekkim smutkiem, że doprawdy boję się ich odkryć, ażeby nie ujrzeć w twarzy pani wyrazu zdziwienia.

— A ja przeciwnie czuję: że te myśli pana będą dla mnie bardzo sympatycznemi — szepnęła pół głosem dziewica.

— A więc powiem — rzekł Nikanor patetycznie. Dusza moja, która jest zdolną nawet z proszku snuć tkanki tęczowe, nie wyparła się i tym razem swego zwyczaju. Patrząc na ten wir osób, słysząc hałaśliwe odgłosy kroków, widząc rażący odblask świateł, mimowolnie porównywałem w duszy ten widok z widokiem burzy, z szumem wichrów, grzmotem piorunów, łuną błyskawic —tęskne zaś tony muzyki i wesołe śmiechy, budziły w méj piersi znowu inne wrazenia....

— Jakież mianowicie?

— To już zakryć muszę przed panią, — odpowiedział tragicznie Serlicki. Są uczucia, które się tak mocno z sercem zrosły, że niepodobna ich oderwać bez zakrwawienia go.

Panna Helena mało rozumiała z tego wszystkiego co z tych natchnionych ust wychodziło; — sądziła jednak że to co jest niepojęte, musi być wielkie a przedewszystkiem bardzo poetyczne i dla tego rzekła:

— Jesteś pan na wskroś poetą — muszę się postarać ażeby inni poznajomili się z pańskiem talentem a spodziewam się, że o cokolwiek pana prosić będziemy nie odmówisz.

Skłoniła się grzecznie i odeszła.

Poeta odetchnął tak głośno i przeciągle jakby istotnie ta burza o któréj mówił przed chwilą wyleciała z jego piersi. W twarzy jego znać było tryumf ale zarazem i ten odcień gorączkowego niepokoju, jakim się czeka chwili, która decyduje o wielkości człowieka. Zapewne w skutek tego wewnętrznego drżenia, Nikanor opuścił pospiesznie salon i udał się do przedpokoju, w którym nie zastał nikogo. Obejrzawszy się lękliwie naokoło, wyjął z kieszeni kartkę papieru, przeczytał ją razy kilka, podumał chwilę i z wesołym uśmiechem na ustach powrócił do salonu. Ta niewinna ale dziwnie tajemnicza lektura wieszcza, miała jednak świadka. Jeden z gości, którego pospolicie zwano panem Jerzym, a którego znano z wysokiego ukształcenia i ostrego dowcipu, oddaliwszy się do bocznego gabinetu dla wypalenia cygara, siedząc na wprost uchylonych drzwi do przedpokoju, niemógł nie zauważyć co się w nim działo. Zainteresowało go to cokolwiek; powróciwszy więc do salonu, zaczął bliżéj obserwować poetę, który właśnie w téj chwili rozmawiał z jakąś okwitającą damą.

— Straszną jak pani nazywa nie była, mówił on głosem podniesionym—ale zawsze dosyć wspaniałą i groźną ażeby zawładnąć poetyczną duszą.

— Dziwna doprawdy rzecz, wycedziła bladooka piękność, — tak nagła burza! Gdyśmy wychodziły z domu była prawie pogoda. Niezmiernie żałuję żem jéj wraz z panem nie mogła podziwiać. Pan zapewnie nawet dla tego nie tańczył?

— Tak pani. Podobnie szczytne zjawiska działają na mnie z wielką siłą i pozostawiają długie wrażenie.

— Widzę że masz pan bardzo poetyczną naturę— musisz pan z równym talentem odtwarzać to co tak głęboko czujesz. Żałuję mocno że dotąd nic z pańskich kompozycji nie znam, a jestem przekonaną że opis burzy przed chwilą byłby zachwycającym.

Rozmowa się przerwała zaproszeniem damy do tańca. Serlicki ukłoniwszy się jéj z nadzwyczajną grzecznością wstał z krzesła. Pan Jerzy, który z dziwnym wyrazem twarzy wysłuchał urywku téj rozmowy, zbliżył się do gospodarza domu i wskazując na poetę, zamienił z nim słów parę.

Tańce na chwilę ustały— zaczęto odpoczywać— panna Helena usiadła do fortepianu i zagrała *Morgenblätter* Straussa. Oklaski sypnęły się rzęsiste—Nikanor zbliżył się również do grającéj.

— Nie można było zrobić szczęśliwszego wyboru, — rzekł z elegancją,— lekka muzyka najłatwiéj zachwyca, bo każdy ją odrazu pojmie.

— Czy pan tak lubi lekką muzykę?

— I owszem pani cenię i poważną — gust mój jednak w tym względzie zależny jest zawsze od warunków w jakich słucham muzyki.

— Jakież to mogą być te warunki?

— Chwilowe usposobienie, dobroć wykonania a nadewszystko ...

— Cóż takiego?

— Osoba grająca — rzekł z cicha Nikanor.

Chwila milczenia.

— Niech mi pani wierzy, mówił daléj tym samym zniżonym głosem— że Strauss jest dla mnie dziś bardzo sympatycznym kompozytorem

— A co panu najbardziéj się podoba z lekkiéj muzyki?

Poeta spojrzał przeciągle, zapalił w oczach pochodnię miłości i z lekkiem drżeniem w głosie wyszeptał:

— Piękna Helena....

Panienka zarumieniła się lekko, spuściła oczy i zaczęła machinalnie przebiegać palcami po klawiszach. Poeta tym samym tonem mówił daléj.

— Tę operę tak lubię, że muzyka jéj zdolna we mnie prawie zawsze wzbudzić natchnienie i najdłużéj je utrzymać. Te wyrazy Serlickiego dały pannie Helenie cokolwiek zmięszanéj tytułem opery, którą poeta najbardziéj cenił — wyborną drogę wyjścia. Wstawszy bowiem od fortepianu rzekła dość głośno:

— Sądzę że państwo się zgodzą gdy w imieniu wszystkich poproszę pana Nikanora: ażeby nam pozwolił skorzystać ze swego talentu i—zaimprowizował.

Propozycję przyjęto z zapałem —nawet pan Jerzy który z szyderskim uśmiechem chwytał wyrazy z rozmowy przy fortepianie, pochwalił zamiar.

— Jakkolwiek mogę zawieść oczekiwanie państwa, rzekł poeta z godnością, bo jest to trud któremu zaledwie genjuszów siły podołać mogą — w każdym razie chętnie służę swoją zdolnością, a pani, dodał obracając się do Heleny, pani która podała ten projekt, proszę o naznaczenie tematu.

Helena się zamyśliła— improwizator zaczął blednąć.

— Ja pani radzę wybrać temat *Burza* — odezwał się

tenorowy głos pana Jerzego, będzie to najodpowiedniejsze zarówno dla położenia pana Nikanora, jak i dla jego chwilowego usposobienia.

Nikt nie zrozumiał ukrytego w tych słowach sarkazmu, bo zewsząd posypały się głosy: *Burza*, którą najsilniéj protegowała owa okwitła dziewica.

— I owszem, rzekł poeta głęboko odetchnąwszy, jeżeli jednak improwizatorowi wolno choć w części wpływać na modyfikację tematu, to może się pani zgodzi na opisanie burzy, zarówno fizycznéj jak i moralnéj, która jest rozpaczą.

— Chętnie się zgadzam, odrzekła panna Helena, będzie treść obszerniejsza i bardziéj zajmująca: *Burza i Rozpacz*.

— A więc *Rozpacz w Burzy* — rzekł Nikanor, robiąc nieznaczną zmianę, w tytule swéj improwizacji i siadając z pompą na fotelu.

Nastąpiła chwila uroczystéj ciszy. Wieszcz powiódł spojrzeniem po salonie i zatrzymał je przy fortepianie. Zrozumiał to spojrzenie najprzód p. Jerzy i podszedłszy ku pannie Helenie szepnął jéj do ucha, że wieszcz czeka ulubionéj muzyki któraby wzbudziła w nim natchnienie. Helena usiadła przed klawiaturą, a pamiętając ulubioną muzykę poety, przez wzgląd, że ma to być burza, zagrała z siłą głośny chór *z Pięknéj Heleny — Jedź na Kretę* i t. d.

Zaledwie pierwsze tony rozbiegły się po salonie — natchniony krzyknął:

Pioruny stękały,
A groźne niebo śmiało się boleśnie.
Ryczący grom trzasnął!
Marzącej méj duszy zdało się że we śnie
Wicher dziki wrzasnął.

Pauza — panna Helena przeczuciem wiedziona zamienia głośny chór na wdzięczne: *W lasku Ida* i t. d.

Lecz nagle o rozkosz! ślepiący blask sieje
Promienna, jasna, wiewna anielica
Rozbożona spływa, jak promyk się chwieje
W ciemności pogrąża swe lica.
Spojrzałem, zadrżałem, bo na tym balkonie
Ją zawsze świetlaną widziałem.
To ona!— krzyknąłem, topiąc rozkosz w łonie;
A niebo odbrzmiało zapałem.
Przejrzysta pobladła, ukryła twarz w bluszcze,
Perłową swą rączkę cisnęła do łona,
Jak zefir co lekko barwne kwiaty muszcze,
Tak stała kamienna i rozanielona,
W méj piersi, och! boleść zgrzytnęła szalona;
Strupiały, rozdarty wściekłych furji szałem,
Zaledwie drugi raz krzyknąłem:—to ona!

Nagle zamilkł — i zsunąwszy się bezwładnie w głąb' fotelu, zemdlał.

— Jak wielki poeta zemdlałem!

— Odezwał się silnym głosem pan Jerzy, kończąc przerwaną improwizację. Nikt jednak nie usłyszał tych słów, bo wszyscy rzucili się na ratunek. Jeden tylko Nikanor, pomimo zemdlenia musiał dosłyszeć głos pana Jerzego, bo zamiast martwéj, twarz jego wykrzywiła się konwulsyjnym kurczem. Z trudem wydobyto go z fotelu i przeniesiono do innego pokoju. W chwili gdy półumarłego wieszcza brano na ręce, wysunęła się na posadzkę z jego kieszeni jakaś mała kartka. Pan Jerzy, który jeden to zauważył, podniósł papier a oddaliwszy się w róg salonu, rozwinął i o zgrozo! co zobaczył? na kartce zamazanym i często przekreślonym charakterem spisaną była: *Rozpacz w Burzy* — doprowadzona tylko do tego miejsca w którém poeta zemdlał. Dla czego twarz pana Jerzego nie wyrażała zdziwienia, owszem uśmiechał się wesoło czytając improwizację — trudno powiedzieć. Nie upłynęło dziesięciu minut, a Nikanor zdrów, tylko rozmarzony nieco powrócił do salonu. Rozmowa stała się powszechną— poeta był przedmiotem ogólnego zajęcia i że tak powiem wielbiącego politowania.

— Przepraszam pana za moje natręctwo, zabrał głos p. Jerzy, ale doprawdy tak pan zainteresowałeś mnie, przerwawszy improwizację w najciekawszem miejscu, że pomimo niedyspozycji pańskiego zdrowia, spytam się co też się stało z bohaterem pod balkonem i bohaterką na balkonie?

Poeta zmięszał się i nie wiedział co odpowiedzieć, bo wcale o pierwiastkach sensu, logiki i jasności w swéj improwizacji poprzednio nie myślał.

— Zadajesz mi pan pytanie, odrzekł tonem gniewnym, na które niepodobna odpowiedzieć. Gdyby poeta wiedział z góry, co w jego improwizacji się stanie, to nie byłaby to improwizacja.

— Ależ przecie plan jakiś być musi—a tylko szczegóły pozostawiają się natchnieniu chwili.

— Gdybyś pan miał najmniejszy zmysł poetyczny, toby mu było wiadomem, że improwizując w silnem natchnieniu, często poeta sam nie rozumie tego co mówi.

— I owszem panie, chociażbym nawet nie wiedział, to słysząc *Rozpacz w Burzy* już o tem dowodnie przekonać się mogłem. Zapytam się jeszcze pana: czy poeta przed improwizacją nie exercytuje się wprzódy w domu obrabiając różne tematy?

— To jest, pan rozumie, rzekł silnie podrażniony Sarlicki, że poeta wprawia się w domu w wierszowaniu jak żak w konjugacjach przed lekcją?

— Nie panie, ja tylko sądzę że postępując w ten sposób mógłby czasami trafić na ten sam przedmiot, który mu dadzą do improwizacji, a tem samem wiele sobie dopomódz do tryumfu.

Serlicki zagryzł usta do krwi.

— Omdlenia zdaje mi się, mówił daléj chłodno p. Jerzy zdarzają się przy improwizacjach bardzo rzadko; — o ile wiem— tylko Mickiewiczowi się to wydarzyło i panu. Doprawdy wielki to panu przynosi zaszczyt już w tak młodym wieku, dokonać tego, co genjusz dokonał w zenicie swéj sławy.

Wieszcz porwał się z krzesła jak gdyby go kto minami wysadził—pan Jerzy uśmiechał się swobodnie.

— Tak, tak, brakuje panu tylko zdrowia mości dobrodzieju, wtrącił jakiś brzuchaty pierrot, a byłbyś pan człowiekiem jakich...

— Rzeczywiście, przerwał p. Jerzy, więcéj zdrowia umysłowego a z pana Nikanora byłby człowiek, jakich społeczeństwo potrzebuje.

Serlickiemu oko zapałało piekielną złością. Panna Helena uważała, że pochwała p. Jerzego jest zbyt stronną i dla tego rzekła z przekonaniem:

— Wierzajcie mi państwo, że nie zapomnę nigdy wrażenia, jakiego doznałam gdy pan Nikanor zawołał: Pioruny stękały—palce zdrętwiały mi na klawiszach.

— Ładny zwrot mości dobrodzieju, odezwał się pierrot, właściwy polskiéj mowie, a całkiem nowy.

— Takich zwrotów, rzekł znowu p. Jerzy, w naszym języku à propos piorunów jest bardzo wiele, trzeba je tylko umieć z talentem wydobyć. Pan Nikanor okazał szczególną w tym względzie zdolność.

Więcéj nawet powiem, dodał zwracając się do poety, jeżeli pan daléj pójdziesz w kierunku téj zdolności, to niezadługo może będziem mieli przyjemność usłyszeć w pańskich improwizacjach jak pioruny będą kasłać, kichać i inne czynności ludzkie odbywać.

Było to tak wyraźne i klujące szyderstwo, że aż panna Helena krzyknęła:

— Co też pan mówi—to znowu byłaby rażąca przesada, wszak prawda panie Nikanorze?

— W poezjach pana Jerzego takie wyrażenia byłyby najzupełniéj właściwe — rzekł poeta ze źle tajoną złością.

— Mylisz się pan, odrzekł p. Jerzy uśmiechając się, bo ja poezyi wcale nie piszę i mówię ciągle o panu. Zresztą choćby mnie nawet napadła kiedy chęć wierszowania, to zapewniam pana żebym nigdy nie wysyłał swego bohatera na schadzkę miłosną w czasie burzy i nie dawałbym mu tak krzykliwych świadków jak stękające pioruny.

— Pan jesteś złośliwym, — odezwała się panna Helena.

— Bynajmniéj pani, rzekł z flegmą p. Jerzy, o ile szanuję talent p. Nikanora dowodem tego, żem nie tylko wysłuchał z zajęciem całéj jego improwizacji, ale ją nawet spisałem.

To mówiąc, z głębokiem zdumieniem obecnych podał pannie znalezioną kartkę. Nikanor zbladł jak trup, poznawszy własny bruljon *Rozpaczy w Burzy*. Chwycił szybko papier i ścisnął go kurczowo w dłoni.

— Spodziewam się, rzekł z udaną grzecznością p. Jerzy: że ta drobna pamiątka, zachęci pana do dalszych improwizacji?

Serlicki skłonił się sztywnie i błysnął okiem nienawiści na swego Zoila. Nie tu jednak był koniec jego nieszczęścia. Wszyscy zbiegli się naokoło niego — jedni chcąc przeczytać raz jeszcze, drudzy odpisać, inni choćby tylko obejrzeć. Kłopotliwe położenie doszło do najwyższego stopnia. Kartka była pisana charakterem wieszcza, znanym niektórym osobom, przytem pomazana i nosząca na sobie widoczne ślady poetyckiego mozołu, mogła w okropnie kompromitujący sposób odkryć tajemnicę tworzenia improwizacyjnego. W téj jednak krytycznéj chwili p. Jerzy okazał się duchem opiekuńczym nieszczęśliwego Nikanora.

— Za pozwoleniem, — rzekł on wstrzymując tłoczących się, nie powinniście państwo żądać tego przez wzgląd, że p. Serlicki mógłby upaść drugi raz i to w daleko silniejsze omdlenie.

Zakaz był obosieczny, krył nowy sarkazm, ale poskutkował. Poeta przybity szyderstwami pana Jerzego, w obec którego czuł się bezbronnym, chwycił za kapelusz i pomimo silnych próśb, pożegnał zebranie. P. Jerzy podał odchodzącemu rękę.

— Czy pan będziesz łaskaw jeszcze kiedy zrobić nam podobną przyjemność — zapytał półgłosem.

— Bardzo wątpię — odrzekł cierpko poeta wyrywając rękę.

— I ja tak sądzę—szepnął ciszéj p. Jerzy.

Po odejściu poety, mówiono tylko o nim przesadzając jedni drugich w słowach pochwały. P. Jerzy nic nie mówił, zapytany o zdanie odpowiedział krótko:

— Dotąd oszukuje siebie i drugich, — zginie, jeżeli tą drogą daléj pójdzie, — ocaleje, jeżeli siebie oszukiwać przestanie.

Mało zrozumiano z téj wróżby p. Jerzego, a gdy wreszcie oddalił się z salonu, wszyscy jednozgodnie powiedzieli: nudny dziwak, nie zna się na ludziach. Wkrótce dowodny fakt poparł ten głos powszechny. Jedno z pism umieściło uzupełnioną improwizację Nikanora Serlickiego z dwoma tytułami: pierwszy był ogólny: *Rzuty poetyczne* drugi szczegółowy: Nr. I *Rozpacz w Burzy*. Pierwszy nadpis mówił: że poeta zamierza wydać pewien szereg podobnych improwizacji i nie obawia się braku sposobności i natchnienia, — drugi zaś nic nie mówił. Takim sposobem Serlicki, pomimo bolesnéj chłosty, jaką mu sprawił p. Jerzy miał tyle cywilnéj odwagi, że swój wiersz publikował, znajomi tyle naiwności, że go uwielbiali, a Redaktor tyle zmysłu poetycznego, że glupstwo przyjął.

Wiadomości Techniczne.

— **Przymrozki Majowe**. Święci: Pankracy, Serwacy i Bonifacy zostali w wielu krajach Europy środkowéj *groźnymi panami* nazwani, dlatego, że w te dni, czyli między 11-tym a 15-tym Maja, przypadają przymrozki zabójcze dla roślin, które nie znoszą zimna w czasie swego wzrostu. Przyczyną rzeczonych przymrozków, ma być pękanie i odpływ lodów morza Północnego. Zdanie to jest mylne. Lody północne pękają w tych dniach dopiero na rzekach np. na Dźwinie północnéj. Od morza Północnego płyną one nieco późniéj i nie sprawiają w oddalonych okolicach gwałtownego zniżenia temperatury. Właściwą przyczyną zimnych dni około 15-go Maja, jest panowanie wiatru suchego i zimnego w tym czasie, który wieje od oceanu Atlantyckiego. Tensam wiatr jest w zimie ciepły i wilgotny, około 15-go Maja zimny i całe lato suchy. On powstaje przy zejściu się powietrza, wcześnie rozgrzanego na stałym lądzie północnéj Afryki z powietrzem dużo zimniejszem, a płynącem od Azji wschodnio-północnéj. Wszystkie kraje środkowéj i południowéj Europy, wystawione na wiatry północno-zachodnie, doznają przymrozków w dnie rzeczonych Świętych.

— **Zabezpieczenie bielizny od pożaru**. Przypadki śmierci kobiet i dzieci, przez zapalenie się ich odzieży od zapałki płonącéj, przez przewrócenie świecy na stole, przez postawienie jéj na podłodze przy ubieraniu się, od ognia w piecu i przez inne podobne nieostróżności, zdarzały się już często przed użyciem nafty do oświetlania. Niebezpieczeństwo stało się powszedniejszem od czasów upowszechnienia nafty. Mnogość firanek łatwo zapalnych czyni pożar jeszcze łatwiejszym. Komu środki pozwalają, powinien stale, łatwo palną bieliznę swoją, zabezpieczyć tyle od pożaru, aby w razie zetknięcia jéj z płomieniem, był pewny, że się nie zapali i nie spłonie. Znam osoby, które lubią zasypiać przy lampie lub świecy z dziennikiem w ręku i mają firanki nad łóżkiem. Tym grozi codzień spalenie się i utrata pościeli, jeżeli nie większy pożar. Dodając do krochmalu lub gummy, którą się bieliźnie sztywność i gładkość nadaje, małą ilość w wodzie rozpuszczonego boranu amonowego, czyli boranu amonji, a następnie jeszcze mniejszą od téj ilość wody ałunowéj, można bieliznę uczynić niepalną. Sole te czynią, że bielizna niemi zaprawiona, nie tli się nawet dobrze przy zetknięciu się z płomieniem. Zaprawienie to nie zmienia koloru, sztywności, ani gładkości bielizny, a zabezpieczenie się od bolesnéj śmierci przez opalenie się, godne jest téj małéj fatygi, jaką jest powyższe zaprawienie za każdym razem gumy lub krochmalu.

J. B. Rogojski.

— **Wino beczkowe, poprawione i podwyższone w cenie w ciągu trzech dni.** We Francji, w mieście Digne (depart. Mozelli) piorun uderzył w jeden ze znakomitszych tamecznych składów win, skutkiem czego, pękło kilkanaście beczek, a zawarty płyn téj drogocennéj jagody, ściekł do umyślnie urządzonego na wszelki wypadek pod drewnianą podłogą rezerwoaru. Strapiony tym wypadkiem właściciel piwnicy, pragnąc jak najśpieszniéj pozbyć się zepsutego w jego przekonaniu wina, zaczął je przedawać po 10 centymów kwartę (5 groszy). Ale, z coraz bardziéj zwiększającą się liczbą amatorów na ten towar stracony, otworzył nareszcie oczy, i jako znawca, przekonał się: że to, rażone piorunem i rozlane z beczek wino, było daleko lepszem niż pierwéj, to jest przed uderzeniem piorunu. Uproszony do zbadania tego wypadku fizyk *Bouchotte*, elektryzował inne beczki napełnione winem, używając do tego 4 do 6 ogniw Daniela (takaż sama siła elektryczności, jak w telegrafach). Rezultaty były niesłychane, wino bowiem za każdą operacją podnosiło się w smaku i bukiecie. Też same doświadczenia powtórzył na wyższą skalę Dr. Scoutetten w Metz, stosując do drutów blaszane zakończenia platynowe, które smaku wina nie nadwerężają. Trzy dni takiéj elektryzacji,

która nawet wino od zepsucia ochrania, są dostateczne do nadzwyczajnego podniesienia jego wewnętrznéj wartości.

Sądzimy, że ten przypadek, który tak ciekawe sprowadził odkrycie, pobudzi i naszych winodawców do bliższego zbadania tego, niezmiernie łatwego do sprawdzenia zjawiska. Zabezpieczyć liche wino od zepsucia, a nadto poprawić je w smaku i bukiecie sposobem tak łatwym i przystępnym dla każdego, to rzecz warta nie jednéj nawet próby!

— **Ceny chloru z różnych materjałów**, obliczone podług cenników Warszawskich. (Dla producentów chloru). Do robienia chloru może służyć braunsztajn handlowy i także kwas solny lub kwas chloro-saletrzany czyli tak zwana woda królewska i nadtlenek mangana, otrzymany z saletranu manganowego. W pierwszym przypadku funt chloru, licząc same tylko materjały, z pominięciem wszystkich innych wydatków, kosztuje 31 kopiejek. Chlor rozumiem tutaj bez względu na towarzyszącą mu wilgoć, nie uwzględniam zatem ile jednemu funtowi rzeczywistego chloru, towarzyszyć będzie wody lub innych ciał obcych. Działając natomiast kwasem chloro-saletrzanym na czysty nadtlenek mangana, otrzymuje się chlor i saletran manganawy. W tym przypadku trzeba, aby kwas chloro-saletrzany zawierał 23 części bezwodnego kwasu saletrzanego na 27 cz. właściwego kwasu solnego, w obec 50 do 65 części wody. Na tę ilość kwasu chloro-saletrzanego używa się $12,_5$ części nadtlenku mangana. Przy użyciu nadtlenku zanieczyszczonego czerwonym tlenkiem żelaza, trzeba oczywiście więcéj kwasu chloro-saletrzanego użyć i zmniejszy się znacznie taniość téj produkcji chloru.

Rzeczone ilości kwasu chloro-saletrzanego i nadtlenku mangana, dają $10,_5$ części chloru i $25,_{25}$ właściwego saletranu manganawego. Prażąc ten ostatni w temperaturze niedostatecznéj do rozłożenia powstającego nadtlenku mangana, otrzymuje się $12,_5$ nadtlenku mangana i pewną ilość tlenków azotu. Pozwalając tym ostatnim przybierać tlen atmosferyczny w czasie prowadzenia ich do rozgrzanego kwasu solnego, otrzymuje się dwa produkty. Przy użyciu 18 cz. handlowego kwasu solnego otrzyma się kwas chloro-saletrzany, zawierający 10 części bezwodnego kwasu saletrzanego czyli ten sam skutek, jakiby dało użycie 16 części dobrego handlowego kwasu saletrzanego. Prócz tego wywiąże się, skutkiem działania rzeczonymi produktami prażenia, saletranu manganawego, $6,_5$ cz. chloru. Tym sposobem otrzymuje się najprzód $10,_5$ cz. chloru, (przez działanie kw. chloro-saletrzanym na nadtlenek mangana), następnie otrzymuje się $6,_5$ chloru (przez prażenie saletranu manganawego na nadtlenek manganu i działanie mięszaniną powietrza i powstałych tlenków azotu na handlowy kwas solny). Razem otrzymuje się zatém 17 cz. chloru. Licząc podług cenników warszawskich materjały bezpowrotnie zużyte i nie uwzględniając żadnych innych wydatków, przypada funt chloru na 15 kopiejek.

Nie twierdzę wcale, żeby powyższy projekt robienia chloru był wypróbowanym. Przyznaję nawet, że przedstawia znaczne trudności, mianowicie wymaga zrobienia nadtlenku mangana, wolnego od żelaza, od soli barowych, wapowych i krzemionki, powtóre kwasu solnego i saletrzanego wolnego od kwasu siarczanego. Nakoniec wymaga takiego mięszania tlenków azotu z powietrzem, aby się z nich nie traciło dwutlenku azotu ani rudéj pary, czyli tak zwanego kwasu podsaletrzanego, który z dwutlenku azotu pod wpływem powietrza powstaje. Postępowanie to wymaga wiele pracy, ale zamienia w chlor cały użyty kwas solny i wraca więcéj niżeli 43% kwasu saletrzanego. Potrzeba zatém za każdym razem dodać tylko 60% pierwotnie użytego kwasu saletrzanego i całą ilość potrzebną kwasu solnego.

Dla producentów chloru, jest to próba mało kosztowna, a wiele obiecująca. Czysty nadtlenek mangana można zrobić z nadmanganianu alkalicznego lub barowego albo drogą czystego chlorku mangana. W tym ostatnim przypadku, służy łatwy do wykonania sposób *Pelonz'a*. W tym celu proszkuje się miałko braunsztajn handlowy, płucze go rozwodnionym kwasem solnym, dla oddalenia węglanów i suszy. Wyprażony z połową swéj wagi salmjaku, daje przez wyługowanie chlorek mangana, wolny od żelaza, który zamieniony najprzód w węglan, a następnie w saletran, daje przez prażenie nadtlenek dostatecznie czysty. *J. B. R.*

ROZMAITOŚCI.

— **Kwesta Wielkanocna.** Zamieszczając poniżéj wymowną odezwę Członków Rady Głównéj Opiekuńczéj, zawiadujących kwestą Wielkanocną po domach dla Warszawskich Szpitali i innych zakładów dobroczynnych, wydaną z upoważnienia téjże Rady Głównéj, mamy błogą nadzieję: że tkliwi zawsze na niedolę bliźnich mieszkańcy naszego grodu, nie omieszkają i tym razem, w miarę możności swojéj, choćby tylko wdowim groszem zasilić corocznie zbierany fundusz na otarcie kroci łez, na ulżenie tysiącom cierpień biednych ofiar przeciwnego losu, które odpłacając się za każdy podany dla nich szeląg, wdzięcznem sercem i gorącą modlitwą, wyjednają niewątpliwie dobroczyńcom swoim ojcowskie błogosławieństwo Zbawiciela, który w Boskiéj swojéj nauce powtarzał zawsze: „*Co dla swéj braci uczyniecie, dla mnie uczynicie.*”

Obwieszczenie wyżéj wspomniane brzmi jak następuje:

„W wykonaniu rozporządzenia Rady Głównej Opiekuńczej, Zakładów Dobroczynnych, rozpoczyna się kwesta Wielkanocna po domach, dla Warszawskich Szpitali i innych Zakładów Dobroczynnych wszelkich wyznań; zbieranie ofiar przyjęli na siebie nietylko Członkowie Towarzystwa Dobroczynności, Rad Szczegółowych Opiekuńczych, Szpitali i Instytutów, lecz i inne osoby nie należące do Zarządu tych Instytucyi. Obowiązki te, o ile są ciężkie i wymagające prawdziwego poczucia obywatelskiego, częstokroć nie są należycie oceniane, przez składających ofiary. Dla zebrania niewielkiej nawet kwoty, nie mówiąc już o stracie czasu i opuszczeniu własnych interessów, wieleż to muszą ponieść trudu i fatygi obywatele zbierający ofiary, chodząc od domu do domu, po wszystkich piętrach i lokalach; ileż te zacne osoby nieraz usłyszą niestósownych uwag, doznają szorstkiego przyjęcia, a w końcu bardzo często i ostatecznéj odmowy w udzieleniu ofiary. Liczne przykłady podobnych wypadków w czasie poprzednich kwest, zmuszają Członków Rady Głównej Opiekuńczej zawiadujących kwestą, okoliczności te wyjawić publicznie, ażeby z jednéj strony zachęcić dających ofiary, do szlachetnego ocenienia poświęceń i trudów ponoszonych przez Delegowanych Obywateli, z drugiej zaś, zachęcić kwestujących do wytrwałości w przedsięwzięciu, podjętem w Imię Boże i dla dobra cierpiącej ludzkości. O ile domyślać się można, cierpkie niekiedy przyjęcie kwestujących przez ofiarodawców, pochodzi niejednokrotnie z tej przyczyny, iż powodowani jakimś fałszywym i źle zrozumianym wstydem, wahają się składać małych datków, zapominając że i grosz wdowi ze szczerego serca ofiarowany, przynosi pożytek potrzebującym i więcej zyskuje zasługi u Boga, jak ofiary większe nieraz, dawane nad możność lub dla względów światowych. Gdyby nawet na dwakroć—kilkadziesiąt tysięcy ludności naszego miasta, słynnego powszechnie z dobroczynności, od każdej osoby wpłynęło tylko po dwie lub trzy kopiejki, to i wówczas kwesta Wielkanocna, zdwoiłaby prawie summę, jaka rok rocznie osiąganą bywa z mozołem i przy niezwykłem poświęceniu się kwestujących. Lista Obywateli którzy przyjęli na siebie ciężkie obowiązki zbierania

kwesty Wielkanocnej w r. b. z wykazaniem Cyrkułów, zamieszczoną została w pismach codziennych i Członkowie Rady Głównej Opiekuńczej zawiadujący kwestą, mają nieomylną nadzieję, iż publiczność uczestnicząca w ofiarach, raczy takowe składać, z tem uczuciem i z względnością, jaka należy się osobom, które poświęciły się zbieraniu kwesty.

Członkowie Rady Głównej Opiekuńczej Zakładów Dobroczynnych zawiadujący kwestą:

Jeneralnego Sztabu Jenerał-Major.
Witkowski. *St. hr. Ostrowski.*

Lista Członków, zbierających ofiary, ogłoszoną została we wszystkich naszych pismach codziennych; wszelkie zatém datki na Ich złożone ręce, celu swojego dojdą. Składki te można wnosić do czasu zamknięcia kwesty, o rezultacie której późniéj doniesionem będzie.

— **Prelekcje publiczne (M. D.)** P. Węclewski w dniu 3 Kwietnia w sali Resursy Obywatelskiéj, piątą prelekcją zakończył szereg swoich odczytów. W téj ostatniej prelekcji, mówił professor o „romansie starożytnym.” Wykazawszy pokrótce wybitny charakter starożytnego romansu, przeszedł następnie prelegent do głównych autorów romansów starożytnych; wykazał podstawową charakterystykę starożytnych pisarzy, mianowicie: Sofronjusza, Petronjusza, Chryzostomosa, Apolonjusza, Lucjana i innych, i zakończył pobieżnem zastanowieniem się nad bizantyjskimi romansopisarzami. W sali Towarzystwa Dobroczynności, w dalszym ciągu odbyły się dwie prelekcje p. Klemensa Podwysockiego o „Pięknie i sztuce.” Prelegent mówił o szkołach filozoficznych i ich pojęciach o pięknie, dotknął wszystkich władz umysłowych i czynników moralnych, pomagających do odczucia piękna zewnętrznego i rozdzieliwszy je na piękno fizyczne, duchowe i moralne, to ostatnie postawił najwyżéj. W drugiéj prelekcji, mówił p. Podwysocki o „sztuce”, wykazując przedewszystkiem źródła dzieł oryginalnych, nadmieniając przytem, że sztuka dramatyczna, powinna, więcéj jak inne, łączyć realizm z ideałem. Według różnicy dwóch zmysłów, podzielił p. Podwysocki sztuki, a wykazawszy cel ich wspólny i różność w szczegółach, postawił w końcu poezję słowa, jako najwyższą. Prelekcje p. Podwysockiego, były opracowane z wielką starannością i dowiodły, że prelegent z gruntu pojmuje rzeczy i jest panem przedmiotu, o którym mówi. P. Felicjan Faleński, z tego samego miejsca, odczytał swój poemat p. t. „Pod Kannami”, poprzedzając go stosownym, objaśniającym wstępem. Treścią tego poematu, jest jeden z najsmutniejszych epizodów z czasów drugiéj wojny Kartagińskiéj. O poemacie tym, nic powiedzieć nie możemy, bo prelegent czytał go takim przytłumionym głosem i tak cicho, że pomimo całego natężenia, zaledwie od czasu do czasu, jakiś wiersz wyraźniéj wpadł do ucha, jednem słowem będąc obecni na odczycie, nie słyszeliśmy go prawie wcale.

P. Scheller, dentysta tutejszy i autor paru broszur o cierpieniach zębów, miał odczyt w tejże sali. „O lekarstwach od bólu zębów, środkach pielęgnowania i o szarlatanizmie.” Wyznajemy szczerze, iż nic nie dowiedzieliśmy się nowego z odczytu p. Schellera; rzeczy dawno znane, bo nawet, godna naśladowania szczerość p. Schellera, że szumne ogłaszanie w dziennikach o różnych lekarstwach na zęby jest prostym szarlatanizmem, jest rzeczą tak dalece wiadomą każdemu, że pod tym względem i ostrzeżeń z mównicy publicznéj, nie widzimy potrzeby. Wiadomo jest również, że lekarstwa te, są tego samego autoramentu, co owe szarlatańskie specyfiki na siwiznę i łysiny.

P. Aleksander Skrobański, magister nauk historyczno-filologicznych, miał odczyt „o Henryku Pestalozzym, jego życiu i pracach na polu wychowania.” Zrobiwszy krótki wstęp, w którym zastanawiał się prelegent, nad ważnością wychowania, nadmieniając, że zasady pedagogji, tak mało są stósowane w praktyczném życiu, opowiedział życie Pestalozzego, rozebrał jego metodę, dając jéj pierwszeństwo nad metodą Roussa i Basedona. Odczyt p. Skrobańskiego, nie mógł bardzo zadowolnić nielicznie zebranych słuchaczy, bo prelegent ciągle się mylił i przedmiotu należycie nie wyczerpał.

Nakoniec w d. 11 Kwietnia, p. Lissner, magister nauk przyrodzonych, prelekcją z chemji „O paleniu się ciał”, zakończył szereg odczytów, odbywanych przez pewien przeciąg czasu w sali Dobroczynności. W téj ostatniéj prelekcji, p. Lissner wyłożył elementarne zasady procesu palenia, który jest niczem innem, jak łączeniem się ciała palnego z tlenem (kwasorodem). Niektóre zjawiska, poparł doświadczeniami chemicznemi, wykazując je zaraz na miejscu w obec słuchaczy. Jakkolwiek prelekcja ta, nie ściągnęła licznych słuchaczy, jednak i ci co byli, nie wiele mogli skorzystać, gdyż prelegent mówił tak cicho, że najbliżéj nawet siedzący, nie wszystko słyszeć mogli.

Winniśmy, na tem miejscu nadmienić, że z umysłu, nie wspominaliśmy nic o prelekcji p. Przyborowskiego, mającéj za przedmiot „powieść tendencyjną”, gdyż prelekcja ta, ma posłużyć za materjał do krytycznego artykułu w niniejszem piśmie.

W d. 10 Kwietnia, w salach redutowych p. Chęciński, odbył dawno zapowiedzianą prelekcję „o Aktorze”, o któréj szczegółowe sprawozdanie, podano już w poprzednim Numerze *Opiekuna Domowego* przez innego sprawozdawcę.

— **(K).** W Płocku tworzy się *Stowarzyszenie spożywcze* mające założycieli w osobach pp. Walerjana Jędrzejewskiego i Gustawa Fogel. Różni się tem od Stowarzyszenia *Merkurego* i założonego w Radomiu, że łączy w sobie *Kassę Zaliczkową*. Ustawa (zatwierdzona przez Ministerium Spraw Wewnętrznych), podobną jest do ustawy Merkurego, z określeniem prócz tego warunków Kassy Zaliczkowéj. Zarząd Stowarzyszenia sprawują wybrani przez zebranie ogólne w liczbie czterech członków przynajmniéj, i tyluż zastępców; zebranie zaś ogólne zbiera się początkowo w perjodach trzech—a później w sześciomiesięcznych.

Zasady Kassy Pożyczkowéj są: każdy członek prócz udziałów i wkładów (wkupnego rs. 1, na udział rs. 5, na utworzenie kapitału pożyczkowego rs. 5), winien wnieść jednorazowo lab ratami po kop. 50 miesięcznie, połowę summy, jaka być może najwięcéj wypożyczoną, któréj normę ustanawia zgromadzenie ogólne. Każdy członek może otrzymać pożyczkę wyrównywającą wkładowi bez żadnego poręczenia, a wyższą za poręczeniem dwóch członków: termin zwrotu niedłuższy jak cztery miesiące częściowo lub jednorazowo procent 8% rocznie, z których 5% od kapitału, 3% na administrację kassy. Zebranie ogólne określa ilość udziałów jakie posiadać można; przynoszą one 5% rocznie procentu. Odpowiedzialność każdego członka w razie niedoboru w operacjach Stowarzyszenia, oznaczoną jest stosunkowo do otrzymanéj dywidendy w ostatnim roku operacyjnym.

— **R. Nowe dzieła.** *Chemja w obrazkach* z życia codziennego, podług *Johnstona*, wypracował Hipolit Witowski. Kraków 1869. (Cena k. 90). Zdrobniała nazwa obrazków, nieuprzedza czytelnika odpowiednio do treści zawartéj w téj książce, są w niéj bowiem brane pod rozwagę bardzo ważne zjawiska, mocno obchodzące myślącego człowieka, których objaśnienie daje nam nauka chemji w obecnem jéj stanowisku; zanadto więc skromny tytuł „Obrazków” nie jest odpowiednim. I tak w rozdziale 1-m jest mowa o składowych częściach powietrza, tak koniecznych czyli stale w niem znajdujących się, jako też o ciałach w niem nie zawsze napotykanych; rozdział następny obejmuje wiadomości o częściach

składowych wody i rozmaitych jéj własnościach, odpowiednio do ciał obcych w niéj rozpuszczonych. Daléj podane są wiadomości o roślinie, zarysy główne warunków jéj życia; opisanie chleba i jego części składowych, rozmaite ciała roślinne do pożywienia służące, tak ziarna jako też owoce i warzywa naszéj strefy jako i innych. Za tem następuje rozdział poświęcony poznaniu pokarmów mięsnych i ciał pożywnych pochodzenia zwierzęcego, z odpowiedniemi uwagami o ich znaczeniu; dwa rozdziały poświęcone są szczegółowemu opisaniu, nazwanych przez autora napojów naparzanych, jako herbata, kawa i t. d., ich wpływ na organizm. Rozdział jeden obejmuje opisanie różnych gatunków cukru, jak cukier krystaliczny (trzcinowy i burakowy), gnonowy, mleczny, maunit i t. d.; w następnym rozdziale jest mowa o napojach wyskokowych (spirytusowych), jak piwo, miód sycony, wino, wódki, tych ostatnich szkodliwy wpływ na organizm nader żywo wystawiony. Trzy rozdziały poświęcone są różnym „płodom odurzającym", wyrabianym z rozmaitych roślin, jak tytuń, jego odmiany, sposoby przyrządzania i użycia; chmiel, makowiec (opium), konopie, orzech żniwny i pieprz betel, jako téż wymienione są rośliny inne odurzająco działające, przyczem podane są wiadomości, jaki wpływ wywierają na nasz organizm. W dwóch rozdziałach opisywane są ciała przyjemną woń wydające, jako téż olejki lotne, eter zwyczajny i etery złożone; w dwóch następnych, przedstawione są ciała wydające wonie wstrętne; podane są sposoby usunięcia ich szkodliwości, gdy uniknąć nie można ich wywięzywania się, za pomocą ciał niszczących te wonie, jakim jest głównie koperwas żelazny i węgiel drzewny świeżo wypalony. Trzy rozdziały przeznaczone są na obznajmienie czytelnika z czynnościami naszego organizmu, jest w nich mowa o oddychaniu, przemianie pokarmów przyjętych i trawieniu, o składzie krwi, jéj znaczenie w organizmie. Ostatni rozdział z nagłówkiem „wielki obieg żywiołów przyrody", obznajmia czytelnika z przemianami jakim ulega materja, jéj niespożytość, znikanie pojedynczych jednostek, dla dania początku nowym, bezsilność człowieka przy największych to staraniach, ażeby materję swojéj jednostki utrzymać w całości po śmierci, tylko w części zapobiega temu balsamowanie; a niczem nie złamane prawo: „z prochu powstałeś, w proch się obrócisz", wypełnia siła chemiczna władająca materją.

Praca Johnstona, użyta za przewodnika do ułożenia tego dzieła, bardzo trafnie wybrana; przy największym jednak talencie zrobienia nauki przystępną, przy całéj umiejętności prowadzenia czytelnika na wyżyny nauki, wiadomości z chemji są nieodzownemi, ażeby czytelnik mógł w zupełności korzystać z téj książki. Wprawdzie autor dla zapobieżenia temu brakowi, podał na początku „wiadomości przygotowawcze", lecz te, nie są w stanie odpowiednio usposobić czytelnika; ażeby im nie dać zbyt wielkich rozmiarów, koniecznem było ubrać je jak najtreściwiéj, zbyteczna treściwość koniecznie musi być niezrozumiałą, tem bardziéj, że podano tam niektóre orzeczenia niedokładne. Naprzykład pierwszy wiersz, „każda rzecz którą zmysłami spostrzegamy, albo poczuwamy, jest ciałem", pominąwszy to, że tylko oczami widzimy, a inne zmysły nie mają udziału w widzeniu, podług tego orzeczenia, spokojne powietrze i czyste zupełnie, nie działa na zmysł widzenia, a pomimo to jest ciałem, albo też „mieszaninę mechaniczną, możemy zmysłami rozpoznać", wzrokiem to prawda, ale inne zmysły udziału w rozpoznaniu miéć nie będą. Sposób podany przez autora poznania koperwasu miedzianego przez użycie ammonjaku, jest zupełnie zbyteczny, bo ammonjak pewno nie jest znany temu, dla kogo pisane te wiadomości. Dla zbytniéj treściwości popełniony błąd w orzeczeniu „ciała, są albo żyjące (organiczne), albo nieżyjące (martwe)." Ciałami żyjącemi są zwierzęta i rośliny, zaś martwemi metale, kamienie, woda i t. d.", jeżeli podług tego tylko to co żyje jest organicznem, to wielka liczba ciał nie znajdzie pomieszczenia nigdzie gdy żyć przestaną; a czemże jest żywica, krochmal, krew? Gdyby i zupełnie odrzuconemi zostały wiadomości przygotowawcze, niemniéj jednak książka p. H. Witowskiego jest bardzo użyteczną w naszem piśmiennictwie; jeżeliby dla braku potrzebnych przygotowawczych wiadomości czytelnika, nie w zupełności była zrozumiałą, to zająwszy go silnie przedstawianym bogactwem przedmiotu, zmusi do obznajmienia się w dziełach odpowiednich z chemją, tyle potrzebną w obecnym czasie, jeżeli nie dla czego innego, to dla bogactwa swego w zastósowaniach.

— **Zamrożenie mózgu.** W najnowszych czasach przedsiębrano rozmaite eksperymenty naukowe na gołębiach. Niedawno czytaliśmy, że można tym biednym zwierzętom wyjąć mózg z głowy, i że mimo to mogą one żyć przy zupełnéj bezczynności swoich instynktów. Teraz zaś donoszą, że przyłożeniem jakiegoś eteru do głowy, można zamrozić mózg w gołębiu, a mimo to nie ginie on, lecz może żyć daléj w stanie zupełnego letargu. Obadwa wypadki dowodzą, że gołębie są tak szczęśliwe, iż nie potrzebują wcale mózgu.

Czy tak jest w istocie, niechaj to sprawdzą nasi uczeni, my zaś pozwolimy sobie tylko przytoczyć tu anegdotę, którą do wiadomości o tem zamrażaniu mózgu gołębiego, podaje pewien feiletonista francuski.

„To zamrażanie mózgu, powiada on, nie dziwi mnie wcale. Przypomina mi ono bowiem mojego stryja, który podczas odwrotu z Moskwy był w niebezpieczeństwie dostania się do niewoli. Z całą walecznością oganiał się ten dzielny mąż od nacierających nieprzyjaciół, aż wreszcie jeden z nich płatnął go tak silnie palaszem, że jakby brzytwą odciął mu głowę od karku. Ale cóż się stało? Mróz był tak siarczysty, że wybuchająca krew natychmiast zlodowaciała i tym sposobem przymarzła głowa do karku. Nieprzyjaciele byli pewni, że już nie żyje. Ale nieszczęściem był mój stryjaszek wielkiem biboszem. Zaledwie ochłonął z tego przestrachu i podźwignął się z ziemi, zobaczył ogień, rozniecony przez markietankę. Pośpieszył więc do niéj, kazał sobie dać spory kielich gorzałki, którą duszkiem wypił, i usiadł przy ogniu aby się ogrzać. Gorącość ognia działała dobroczynnie na jego członki, ale nagle stoczyła mu się głowa pod nogi i nieszczęśliwy stryjaszek był już niebo-szczykiem."

Otóż facecja, godna nawet Radziwiłła Panie Kochanku.

— **Filje Banku Polskiego w Włocławku i Lublinie.** Dowiadujemy się, iż poleconem zostało: 1) Przedłużyć istnienie utworzonego w roku 1866, sposobem próby Kantoru Banku Polskiego w mieście Włocławku, z przemianowaniem na oddział Banku Polskiego. 2) Otworzyć w mieście Lublinie oddział Banku Polskiego dla następujących czynności: *a*) przyjmowania wkładów pieniężnych dla procentowania; *b*) przyjmowania kapitałów dla przekazania na Warszawę i inne miasta, w których ustanowione są kassy Bankowe; *c*) inkasowania należności wekslowych, płatnych w Lublinie; *d*) eskontowania miejscowych weksli; *e*) udzielania pożyczek na zastaw papierów publicznych. Zdaje nam się, że oddziały te nie małe przyniosą z czasem usługi ludziom poświęcającym się handlowi i przemysłowi.

Wydawca, Mieczyński Adam.—w Druk. J. Jaworskiego.—Дозволено Цензурою.—Redaktor: Oskar Stanisławski.